

XVII  
KONKURS  
LITERACKI  
2011



„Zalewa nas morze  
drobiazgów, które  
usiłują stanowić  
o naszym życiu [...].  
Można o tym opowiadać  
śmiertelnie poważnie,  
ale właściwie po co  
pytają nagrodzeni  
w Kędzierzynie-Koźlu  
prozaicy, idąc wyraźnie  
w stronę żartu, kpiny,  
groteski i deformacji..”

[ze wstępu]



KRAJOBRAZY  
SŁOWA



POEZJA I PROZA  
LAUREATÓW  
KONKURSU LITERACKIEGO

# KRAJOBRAZY SŁOWA

XVIII Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2011

# KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów  
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU  
Kędzierzyn-Koźle 2011

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,  
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
  - **Południowy Koncern Energetyczny S.A.**
  - **Elektrownia Blachownia w Kędzierzynie-Koźlu**
  - **Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego**
- **Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany „ELBOR”  
w Kędzierzynie-Koźlu**

Projekt okładki  
*Leszek Oldak*

Opracowanie redakcyjne  
*Maria Szwed*

Korekta  
*Maria Szwed*

**ISBN 978-83-928693-8-2**  
**978-83-62105-63-2**



## WIOSNA W LITERATURZE I KĘDZIERZYNIE-KOŹLU

*Ach, ten powiew świeżości... Zawsze na wiosnę i zawsze w Kędzierzynie-Koźlu. Gdy zaczynam czytać prace nadesłane na konkurs „Krajobrazy Słowa”, to dopiero dociera do mnie, że to końcówka zimy, jej ostatnie podrygi. Pulsowaniu przyrody towarzyszy tajemnicze pulsowanie słów w zgromadzonych tu najlepszych wierszach i opowiadaniach. A w tym roku jakoś wyjątkowo obrodziło dobrymi tekstami i wyczuwa się w powietrzu moc świeżości, siłę nowości. Przede wszystkim godne zauważenia jest odkrycie oryginalnego talentu Piotra Zawadzkiego. Każdy z jurorów zauważył te wiersze i najwyżej ocenił (co za niebywała zgodność), dostrzegł w nich coś przekonującego i uniwersalnego; trzy inaczej patrzące osoby wypatrzyły właśnie ten zestaw skromnego autora, do tej pory publikującego tylko w Internecie. Cenne odkrycie, które przejdzie do historii kędzierzyńsko-kozielskiego konkursu. Piotr Zawadzki, moim zdaniem, w swojej literackiej i życiowej wędrówce dotarł do interesującego miejsca. Ma o czym opowiadać i już wie, jak to robić, a więc chęć opowiadania dogadała się tu z chęcią metaforyzowania, czyli poetyckiego definiowania życia, losu, śmierci. Dlatego czyta się to z takim zajęciem – dokonał się „właściwy styk”, wypełniła się harmonia. Oby ta dyspozycja nie opuściła zbyt szybko poety.*

*Zresztą te uwagi można rozciągnąć na pozostałe zauważone utwory poetyckie. Dostarczają autentycznej satysfakcji czytelniczej. Widać ukryte w nich osobowości, które nie dukają i nie kluczą, lecz mówią płynnie i w zadziwiający sposób wprost. Żaden wzniósłszy, uczony hermetyzm nie jest im potrzebny. Podsumowują kolejne etapy zmagania z zagadkami losu w sposób powściągliwy, czujny, a kiedy trzeba również czuły czy ironiczny. Czuwają nad materią słowa, wiedząc już, co wybierać z materii życia. Wiersz nie jest od wszystkiego, nie jest w stanie udźwignąć całego bólu i uchronić od wszędobylskiego absurdu, ale, co ważne, pojawia się tu mniemanie, że może pomóc, może coś oświetlić, oswoić.*

*A co dopiero proza... Tak mi się wyrwało z niemłodej już piersi. Trudno ukryć, że to właśnie proza może stać się hitem tegorocznej antologii pokonkursowej. Przeciętny czytelnik (który wcale nie musi być przeciętnym człowiekiem, biorąc po uwagę ostatnie sondaże na temat czytelnictwa w Polsce) nie garnie się do poezji, szukając odbicia znanego sobie świata w powieściach i opowiadaniach. A tutaj naprawdę dużo może znaleźć i mieć radość z odkrywania interesujących światów, błyskotliwej narracji o naszych czasach, kapryśnej, ni to nowoczesnej, a już właściwie ponowoczesnej rzeczywistości. Tylko że jednego i drugiego (równie wyrazistego) tak na dobrą sprawę nie widać, zaś horyzont poznawczy i życiowy wypełnia bieganina i paplanina. Zalewa nas morze drobiazgów, które usiłują stanowić o naszym życiu, osacza informacyjno-reklamowy szum, który usiłuje wryć się w świadomość i wypełnić ją do głębi. Można o tym opowiadać śmiertelnie poważnie, ale właściwie po co – pytają nagrodzeni w Kędzierzynie-Koźlu prozaicy, idąc wyraźnie w stronę żartu, kpiny, groteski i deformacji. Tak opisują życie, jak im się ono wyświetla na co dzień, jak im się ono czyta w zmaganiu z napierającym chaosem.*

*Pisanie jest niepoddawaniem się, jest dzielnością. Niekiedy zdarza się szczęśliwie, że dzielność i sprawność zaczynają obejmować innych, przestają dotyczyć tylko mnie, leczącego się pisaniem. Ten moment przejścia jest już dawno za nagrodzonymi w Kędzierzynie-Koźlu autorami. Teraz przed nimi jakiś ciąg dalszy. Pewnie owocny, twórczy, zaskakujący. Chciałbym, żeby zapamiętali ten kędzierzyński epizod. Żeby był wspomnieniem wiosny i wolności. Żeby był ważnym przystankiem na drodze do sławy.*

Karol Maliszewski

PIOTR ZAWADZKI  
godło: „oneironauta”

Nagroda Marszałka Województwa  
Opolskiego



*PIOTR ZAWADZKI – urodzony w 1983 r., mieszka w Opolu. Filozof, poeta, eseista. Stale publikuje w „Opolskim Kwartalniku Kulturalnym Prowincja”. Mąż Joanny, tata trzyletniej Idy. Do tej pory pisał „do szuflady”, a „Krajobrazy Słowa” są jedną z pierwszych prób upublicznienia jego twórczości poza Internetem.*



## UCIECZKI

Zakaz palenia liści układa stosy – listopad zaraża  
gniciem, lepi w brunatne kule. Bałwan  
ze mnie. Oglądam jak stygnące słońce podpala domy,  
przegląda się w krwawiących oknach –  
rajska papuga na skraju klatki. Wiatr w gniazdach  
anten będzie nadawać śnieg i migrenę. Migruję.

Teraz nie ma we mnie ruchu, chociaż jadę  
nieznaną trasą. Jesteś zdesperowaną autostopowiczką. Cudem  
zabieram cię, widząc krzyże przydrożne, interpunkcję śmierci.  
Potem wydaję najbliższemu miastu.  
Za mną płonące pola, przegniłe stosy zakazów.

## NOCNA AUDYCJA

Klucze gęsi zamykają niebo,  
toną pod poruszoną taflą horyzontu.  
Za nimi stoczy się łeb słońca, viva la revolution,  
potem wiadomości o wojnach, kataklizmach, reklamy.

Radiowiec otwiera dekadę muzyki soul.  
Powstają dzieci niewolników,  
roznosząc pachnidło bawełny i tytoniu.  
Rozbrzmiewa Solomon Burke.  
Aksamit jego czarnej modlitwy zakrywa epokę,  
kształty w pościeli. Bóg słyszy każde słowo  
przez naszą skórę. Ma wiele mieszkań.  
Wieczór szepcze swój manifest –  
poeta drżących ciał niebieskich – mógłby milczeć.

## PUNKT ODNIESIENIA

Już plemię chmur oblega terytorium  
i wytacza na pola aromaty cieni. To pomaga  
ostudzać kopce kretów, kartofliska, nasze czoła.  
Jesteśmy jedynym punktem tutaj od wielu, wielu lat.  
Z daleka można pomylić z miastem, młodniakiem  
lub kominem sfer. Nie czujemy, kiedy stary  
rolnik nanosi swój punkt na mapy,  
od niego odmierzając kroki do pleśniawego  
kościółka, skupu, piwiarni, gdzie chmiel tętni  
w brzuchach i płynie żółtym sikiem.  
Nie ma w tym nic dziwnego,  
od punktu zaczyna się prosta, jest punktem,  
powielonym mrugnięciem. Trwania  
uczą się od nas bulwa, kos, plemię chmur  
zdobywa nowe ziemie, starym przyprawia rogi.  
Opowiadają nas w szalaszach zmierzchu, odmierzają dni.

## CZUĆ, DZICZEĆ

Usypiam skórę. W tym stanie  
panuje znieczulica. Obserwator zdaje raport  
z orszaku absurdu, szlaku, połamanej jawy.  
Nikt nie woła, woła wydaje się przysiąść  
i nie chcieć nic, poza samą sobą. Głowę dam,  
że jest ciemnym kanibalem  
lub bezbłędnie poprowadzonym kołem  
na notatkach opuchniętego Schopenhauera.  
Coś się stacza, schodzę z góry w pierwszym,  
szczerym skropleniu rosy na maskach  
samochodów. Zstąpić w mękę poranka,  
krzątanicę dostawców i ich koni mechanicznych.  
Poznać, że boją się dnia. Czuć i dziczeć z nimi.

## CYKLE

Pociągi – ze stali i odbity na wodzie, dudnią brzuchami po szynach zmierzchu. Pierwszy wciska się we wnękę rudego sklepienia (ranka nigdy się nie zagoi). Drugi rozbija się o brzeg rzeki, wypływając ludzi miriadami okien.

Zakochani plotą ciała jak kosze na owoce jesieni. Tragedia jest tłem i szeptanym preludium. Dla nich pasażerowie to łódki gasnących liści.

Póki co wiele się w nich mieści, doznaje oczyszczenia.  
Okłamani przez pociągi i Odrę – wrócą tu.

Chodź ze mną w gąszcz wikliny.

WERONIKA GÓRSKA  
godło: „Herbacziana Dama”

Nagroda Prezydenta Miasta  
Kędzierzyna-Koźła



*WERONIKA GÓRSKA – urodzona w 1986 r. w Chorzowie. Doktorantka Zakładu Poetyki Historycznej oraz Sztuki Interpretacji na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Członkini Grupy Poetyckiej Obok Sceny przy Bytomskim Centrum Kultury, autorka wierszy, opowiadań, recenzji oraz esejów publikowanych w prasie literackiej oraz wygłaszanych na antenie radiowej. Laureatka wielu konkursów literackich i turniejów jednego wiersza. Wegetarianka.*

## DOROTKA W KRAINIE DO

### NIEDZIELA

W niedzielę mogłam leżeć do dziewiątej i czytać książki lub, gdy jeszcze nie znałam literek, oglądać obrazki w baśniach Grimmów lub Andersena. Nie wolno mi jednak było brać do łóżka bloku i kredek. Tłusty, tęczyowy śluz, który wydzielają tańcząc, na kartce, mógłby się rozlać na pościel, którą mama z takim poświęceniem prała, suszyła, maglowała...

– Ale to moja pościel. Może być kolorowa – odważyłam się kiedyś zaprotestować.

– Będziesz miała swoją pościel, jak na nią zarobisz.

W niedzielę pozwalano mi zasiadać do śniadania w piżamie. Przygotowywał je ojciec, w przeciwieństwie do pozostałych dni tygodnia, kiedy to mama zrywała się pierwsza i przyrządzała słabą herbatę oraz kanapki z serem i warzywami pokrojonymi w niemal przezroczyste plastry. Ojciec nie robił kanapek. Zamiast nich gotował frankfuterki, cienkie, rumiane parówki, których za żadne skarby nie można było nazywać parówkami.

– Ładne mi parówki! A wiesz, ile kosztują?!

Poza frankfuterkami serwował nierówno pokrojony chleb oraz jaja na twardo, oblane kożuchem majonezu. Do tego kakao, również z kożuchem, który wyjmowałam ze wstrętem łyżeczką.

– Nie wyjmuj, tylko rozmieszaj! W kożuchu jest cały tłuszcz z mleka i mnóstwo witamin!

Na samą myśl, że ta wstrętna zawieszina miałaby się wymieszać z kakao i powędrować do moich ust, miałam ochotę zwymiotować śniadanie. Łącznie z frankfuterkami, chociaż były takie drogie.

Po śniadaniu myłam się i ubierałam świąteczną sukienkę. Zimą z czerwonego lub granatowego aksamitu, a latem białą w pastelowe

kwiatuszki. Następnie mama czesała mnie we francuski warkocz, szarpiąc i wyrwijając mnóstwo włosów lub na przemian narzekając, że są takie rzadkie.

– Kiedy ja byłam mała, nosiłam dwa warkocze, a każdy był tak gruby jak przegub mojej dłoni – w głosie mamy wyczuwałam pretensję. Może gdybym nie wybrzydzała na kożuchy, miałabym gęściejszą czuprynę?

Chociaż kościół mieścił się na sąsiedniej ulicy, a my zawsze wychodziliśmy piętnaście minut przed mszą, tyle razy wracaliśmy się, żeby sprawdzić, czy okna zamknięte i czy wyłączony gaz, że zawsze docieraliśmy na miejsce równo z księdzem. Oczywiście wszystkie ławki z przodu były już zajęte, a z tych tylnych nic nie było widać, zwłaszcza kiedy miało się metr dwadzieścia wzrostu. Z nudów liczyłam pucółowate aniołki wymalowane na kopulastym suficie, albo ilość pań w kapeluszach, beretach, czapkach.

Kiedyś do kościoła wpadł bury i chyba dość jeszcze młody kundel. Nie przeszkadzał, nie czekał, nawet nie wchodził na ołtarz, nauczony, jak widać, szacunku dla sacrum. Biegał tylko radośnie wokół ławek, z wywalonym jęzorem, wielkim i różowym jak plaster szynki krojony przez ojca na niedzielną kolację. Niestety nie siedziałam z brzegu, więc nie mogłam go pogłaskać, kiedy przemykał obok mojej ławki.

Nie wszyscy mieli ochotę go głaskać. Chuda katechetka, która rok później przygotowywała mnie do pierwszej komunii, podniosła się z miejsca i usiłowała złapać niesfornego zwierzaka. Z początku poruszała się dostojnie, jak na przedstawicielkę prawa i porządku przystało. Ta metoda okazała się jednak nieskuteczna. Aby złapać kundla, musiała się do niego upodobnić i hasać żwawo między ławkami. Wąska spódnica i pantofle na szpilkach z pewnością nie ułatwiały zadania. Niebawem była tak zdyszana, że jej język wywalił się na zewnątrz, jak język psa. Dzieci rechotały, szturchane przez matki, które zakrywały usta chusteczkami. Kazania wysłuchało jeszcze mniej osób, niż zwykle.

Po mszy szliśmy na spacer do parku. Chociaż mieścił się tam plac zabaw, i to pierwszy drewniany plac zabaw w mieście, z oponami na łańcuchach zamiast metalowych, niemilosierne skrzypiących huśtawek, nie wolno mi było z niego korzystać. Miałam na sobie przecież niedzielą sukienkę. Na pocieszenie wstępowaliśmy do cukierni. Latem na jedną gałkę lodów, zimą na jedno ciastko.



Lody, wypełniające wielkie, metalowe pojemniki, miały tak żywe barwy, jak moje kredki. I tak samo szybko ich ubywało. Czerwień truskawek, brąz bakalii, biel kokosu, żółć cytryny i pastelowa zieleń mięty. Co wybrać? Zawsze długo stałam przed lodówką, przyklejając nos do chłodnej szyby.

– Decyduj się, dziecko – niecierpliwiła się pani z wpiętą w ondulowane loki nieświeżą koronką.

– Kiedy ja mogę tylko jedną... – jęknęłam żałośnie.

– Nie rób nam wstydu – strofował ojciec.

– Przecież wiesz, że często się przeziębiasz – łagodziła mama.

Czasem myślę, że całe moje życie to stanie przed lodówką naładowaną różnokolorowymi smakołykami.

Natychmiast po powrocie do domu musiałam zdjąć świąteczną sukienkę, chyba że na obiad przychodziła babcia lub wujostwo z kuzykami.

– Przecież niedziela się jeszcze nie skończyła – nie rozumiałam.

– Ale jesteś w domu, wygnieciesz się albo czymś zachlapiesz.

– W cukierni też mogłam się zachlapać.

– Tak, ale tam byli ludzie.

Na obiad był kurczak z frytkami i startą marchwią albo kluski śląskie z roladą i kapustą. Ewentualnie schabowy z ziemniakami i mizerią. Chociaż mizeria miała tą samą barwę, co lody miętowe okraszone bitą śmietaną, której rodzice nigdy mi nie zafundowali, była wstrętna. Musiałam jednak zwymiotować ją prosto na talerz, aby pozwolono mi jej więcej nie spożywać.

– Kto to widział, aby dziecko tak kaprysiło – skarżyła się mama, jeśli na obiad przychodziła ciocia lub babcia.

– Przecież ja nie lubię tylko mizerii, kozuchów, kisielu i budyniu! – oponowałam, ale nikt mnie nie słuchał.

Kiedy już pozmywałam naczynia, nieustannie instruowana przez któregoś z rodziców, następowała najprzyjemniejsza część dnia – *Dynastia* lub *Północ południe*. Pewnie w telewizyjnym programie wczesnych lat dziewięćdziesiątych występowały też inne seriale, ale ja pamiętam tylko te dwa, oczekające seksem i luksusem – przez swą niedostępność najbardziej interesującymi dla młodej dziewczynki sprawami.

Mama najbardziej ekscytowała się tymi momentami *Dynastii*, w których dwie panie biły się w błocie o jednego mężczyznę.

– Z tego bogactwa to się ludziom przewraca w głowie! Kto to widział, żeby baba była tak głupia, jak chłop i o byle gacie trzaskała po gębie – dziwiła się, śmiała i irytowała. Może jednak w głębi duszy zazdrościła przedsiębiorczym bohaterkom telenoweli?

Ja natomiast kochałam sceny kręcone w łazience Alexis, obszerniejszej od naszego jedyne go pokoju.

– To bardziej pokój kąpielowy, niż łazienka – mówiła mama i ta nazwa bardzo mi się spodobała.

Po środku pokoju kąpielowego Alexis stała ogromna wanna, pełna piany.

– Ile ona musi wlać płynu, aby tyle się zrobiło piany? – zastanawiał się ojciec.

– Przez miesiąc byś nie zarobił na jedną jej kąpiel – zapewniała babcia, pokazując w uśmiechu złote zęby.

Zza gęstego obłoku wyłaniała się tylko twarz bohaterki w pełnym makijażu, lecz ja domyślałam się kształtów jej wypielęgowanego ciała, ukrytego pod pianą. Alexis musiała być strasznie stara, skoro miała dorosłe dzieci, a jednak posiadała figurę stokroć zgrabniejszą, niż moja trzydziestoletnia matka. Marzyłam, aby wynurzyła się z wody i pokazała pełne piersi, cienką talię, smukłe nogi, a w ich złączeniu tajemniczy, czarny trójkąt, z którego podobno wychodzą na świat niemowlaki. Bohaterka nie czyniła tego jednak. Odbierała za to telefon stojący tuż przy wannie. Białe ze złotymi widelkami. Dzierżąc słuchawkę w dłoni o perfekcyjnym manicure trudniła się interesami i intryganctwem. Intrygi stanowiły również domenę pozostałych kobiet z *Dynastii*, może poza anielską Cristal, ale interesy to było coś niesamowitego, czyniącego z Alexis równą partnerkę dla wszechwładnego Blake'a. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam, ale wyczuwałam intuicyjnie i darzyłam Alexis nabożną czcią.

Nie jestem pewna, czy to w *Dynastii*, czy w jakimś innym filmie, scena kąpieli kończyła się kieliszkiem szampana. Może przyjeżdżał on do zanurzonej w pianie bohaterki zabawkowym pociągami, a może wnosił go kamerdyner w białym smokingu? Myślę, że do Alexis bardziej pasowałby przystojny służący. Powinna rozkazać mu się wytrzeć puszystym, frotowym ręcznikiem, po czym odejść, naga i obojętna, do swojej sypialni. A może tak kiedyś zrobiła?

W *Pólmoc południe* najbardziej podobały mi się stroje. Falbaniaste suknie rozłożone na krynolinach oraz niezliczone warstwy bielizny

– halki, gorsety, pantaloney, pończochy. Jest w tym serialu taka scena, kiedy któryś z bohaterów wchodzi do ekskluzywnego burdelu, z wielkim holem, szerokimi schodami i czerwonymi portierami. W rzędzie przed nim stoją dziewczyny wyłącznie w pantalonach i gorsetach, przybranych błękitnymi i różowymi wstążkami. Już chyba jako przedszkolak, a na początku podstawówki na pewno, byłam dość obznajomiona z dziewiętnastowieczną kulturą, aby zrozumieć, że nie wypada paniąkom prezentować się mężczyźnie w negliżu.

– Dlaczego one są w bieliźnie? – zapytałam.

Dorośli odpowiedzieli skonsternowanym milczeniem.

– Przynieś mi z kuchni kawę – polecił po chwili ojciec.

Myślał, że kiedy wrócę z kawą, zapomnę. Nie zapomniałam.

– Dlaczego one były w bieliźnie? – pytałam uporczywie, nie zwracając uwagi na to, czy na ekranie rozgrywa się właśnie scena namiętego seksu, bitwa pod Getysburgiem, a może przejażdżka konna?

– Nie przeszkadzaj nam oglądać – zirytowała się mama.

Po filmie siadałam w swojej części pokoju i bawiłam się lalkami lub szłam do kuchni poczytać czy porysować. Niedziela kończyła się kanapkami z grubo pokrojoną przez ojca szynką, przypominającą różowy, mięsisty język psa, który kiedyś wpadł do kościoła. *Dobranockę* oglądałam już w piżamie. Po niej miałam obowiązek spać, nawet jeśli telewizor dalej pokazywał rodzicom fascynujące obrazy, których ze swojego łóżka, ustawionego przy tej samej ścianie, co on, nie mogłam zobaczyć.

#### PODGLĄDANIE

Mama skazała mnie na wojeryzm, czytając mi po każdym powrocie z przedszkola jedną baśń. Jej monotonny głos pozwalał mi zaglądać na dno oceanów, gdzie żyły syrenki i pod kapelusze grzybów, gdzie mieszkaly krasnoludki. Po przeczytanej baśni mama pokazywała mi ilustracje z kołowrotkami, saniami zaprzężonymi w renifery, czy smokami. Czasem jednak obrazki kłamały.

– Dlaczego Śnieżka jest blondynką?! – oburzałam się – Przecież miała mieć cerę białą jak śnieg, rumianą jak krew i włosy czarne, jak heban!

– Może plastyk się pomylił – odparła mama obojętnie.

Ja jednak nie dałam się nabrać. Wiedziałam, że to czary Macochy.

Odkąd dowiedziałam się o istnieniu innych światów, własny przestał mi wystarczać. Jedna baśń dziennie również mi nie wystarczała.

Dlatego siedząc przy kuchennym stole, zastępującym mi biurko, na które w naszej kawalerce nie było miejsca, rysowałam własne historie, opowiadając je równocześnie samej sobie i pilnując, aby słowa i kolory się zgadzały.

– Ty pyszałku! – krzyczałam do rycerza siedzącego na koniu, który przypominał trochę kozę, a trochę psa. – Sam nasłałeś na mnie zbójców, żeby mnie przed nimi obronić! – aby podkreślić złość oszukanej księżniczki, przejechałam po jej liczku czerwoną kredką.

– Znowu wymyślasz? – zapytała mama, wchodząc do kuchni. Choć to nie była przygana, a raczej stwierdzenie, pomieszały mi się słowa i kolory. Wstydliwie zakryłam ręką brzuchatych i brodatych zbójców, księżniczkę oraz rycerza na nieudanym koniu. – Przesuń się trochę z tymi kredkami, bo będę robić ciasto.

Kiedy w zerówce posiadałam umiejętność czytania, blok i kredki zaczęły ustępować miejsca książkom. Nauczysz się natomiast stawiać litery, postanowiłam spisywać własne historyjki. Słowa nakreślone w grubym, liniowanym zeszytynie nie pozwalały się tak łatwo złapać, jak słowa wykrzykiwane przez rysunkowe postacie.

W szkole zajęłam miejsce pod oknem. Miałam nadzieję, że między liczeniem ułamków, a słuchaniem o prawych dopływach Wisły, zdolałam odkryć jakąś tajemnicę własnego świata. Niestety, na ogół wydawał się strasznie nudny. Liście rosnącego tuż za oknem kasztanowca mokły w październikowym deszczu, smętne staruszki dreptały z siatkami pełnymi zakupów, a smętni staruszkowie karmili gołębie. Czasem przemknęła młoda matka z wózkiem. Żadnych tragedii, wielkich miłości, wojen. Ani jednej odkrytej Ameryki, ani jednego rozbitego atomu. Ludzie, o których pisano w książkach, byli znacznie ciekawsi od tych zaokiennych.

Koleżanki z klasy również wydawały się nudne. Co innego te starsze, mające biodra i biusty, i czasem nawet lekki makijaż, które na przerwach stały w grupkach i chichotały, albo trzymały się za ręce z chłopakami czy nawet, jeśli dyżurująca nauczycielka stała tyłem, całowały się z nimi. Ja też chciałam trzymać się za ręce i całować, i być odprowadzona do domu, i dostawać kartki walentynkowe. Koledzy nie kwapili się jednak, aby zadać mi sakramentalne pytanie: Czy chcesz ze mną chodzić? W końcu zaczęłam się niecierpliwic i postanowiłam, że również tę historię opowiem sobie sama.

Trudno było dokonać wyboru. Koledzy z klasy, tak każdy z osobna, wydawali mi się bardzo sympatyczni. Zawsze dziękowali, kiedy dałam im zerznąć zadanie, a czasem w którymś z nich jeździłam na rowerach po parku. W grupie zachowywali się jednak okropnie. Na lekcjach wymowali wkłady z długopisów, a zamiast nich wpychali do plastikowych obudów zaślinione kulki papieru, które następnie wydmuchiwali na dziewczyny. Na przerwach natomiast, jeśli akurat nie grali w piłkę, albo się nie bili, rzucali w nas zimą śnieżkami, a latem garściami trawy wyrwanej razem z ubabranymi ziemią korzeniami. Moje koleżanki piszczały, uciekały i miały przekleństwa, ja jednak nie pozostawałam dłużna chłopakom. Kiedyś, gdy Karol zabrudził mi nową, jasnożółtą bluzkę, oddałam mu nie jednym, ale pięcioma pociskami z trawy. Któryś trafił go w oko, aż się biedaczek popłakał i poszedł najpierw do gabinetu higienistki, a potem na skargę do pani wychowawczynie. Po raz pierwszy w życiu wpisano mi uwagę do dzienniczka.

Mama, podpisując uwagę, nie dowierzała moim tłumaczeniom, że chłopiec, któremu sypnęłam ziemią w oko, pierwszy mnie zaczepiał, ani też, że nie celowałam wcale w oko, tylko „gdziekolwiek”.

– A nawet jeśli tak było, powinnaś być mądrzejsza – zakończyła naszą rozmowę, za karę za uwagę i brudną bluzkę nie pozwalając mi oglądać *Mody na sukces*.

Wojtek na tle chłopaków z klasy wydawał się wyjątkowy. Był najlepszy w klasie z matematyki, lepszy nawet ode mnie, lecz ja za to pisałam ładniejsze wypracowania. Rzadko rzucał w dziewczyny trawą czy śnieżkami i może dlatego nie miał, jak inni, brudnych paznokci.

– Czy chcesz ze mną chodzić? – zapytałam zatem Wojtka na przerwie między plastyką a polskim.

Chłopiec oblał się purpurą od brody, aż po czoło, nad którym sterzczały nieco tłustawe, ciemne włosy. Pomyślałam, że może nie jest tak całkiem ładny i czysty, jak mi się wydawało, ale nie mogę być zbyt wymagająca, jak na pierwszy raz.

– Nie – odpowiedział, ku mojemu zaskoczeniu i szybko odszedł.

Nie zraziłam się odmową Wojtka. Cóż, może jeszcze nie dojrzał do poważnego związku, a może mu się nie podobam. Jak nie ten, to inny. Ponowiłam więc swoje pytanie wobec Bastka, który potrafił chodzić na rękach i miał śliczne, złote loczki oraz wobec Damiana, który najczęściej umawiał się ze mną na rower.

Chociaż wszyscy chłopcy mnie odrzucili, uświadomiłam im chyba, że w wieku dziesięciu lat można już dobierać się w pary. Niebawem Karol zaczął chodzić z Joasią, a Bastek z Dagmarą. Przestałam patrzeć w okno podczas lekcji. Przypatrywałam się, jak Karol i Joasia trzymają się pod ławką za ręce, a Bastek pisze liściki do siedzącej w sąsiednim rzędzie Dagmary.

#### STANIK

Przez całe wakacje między trzecią a czwartą klasą nosiłam na przemian trzy obcisłe bluzeczki bez rękawów. Gdybym zakładała moje liczne tiszerty, chłopcy, z którymi umawiałam się na rowerowe wycieczki, nie zauważyliby, że pęcznią mi piersi. Nie zauważyli ich i tak, czy też nie dali po sobie poznać, że zauważyli, ale przynajmniej dałam im szansę.

Nabrałam nawyku zdejmowania bluzy od piżamy do mycia zębów. Energicznie kręcąc szczoteczką w buzi, patrzyłam, jak mojemu lustrzanemu odbiciu podskakują sutki.

– Pospiesz się z tym myciem, ja też chcę do łazienki! – wołanie rodziców budziło mnie z zapatrzenia we własne ciało.

– Dorocie trzeba kupić stanik – zawyrokował ojciec przy którejś sierpniowej kolacji.

Nie potrafiłam opanować chichotu. Stanik! Żadna dziewczyna w klasie jeszcze go nie nosiła. Po chwili jednak poczułam zawstydzenie. Dlaczego to ojciec dostrzegł początki mojej kobiecości, a nie mama? Dlaczego rozmawiają o mnie tak, jakby mnie przy nich nie było, albo jakbym była kamionkowym wazonem w kwiatki? Zapragnęłam trzasnąć tymże wazonem o podłogę. Nie miałam jednak odwagi. Zamiast tego bez słowa wstałam od stołu.

– Dokończ kanapkę! – rozkazał ojciec – Taki drogi pasztet, a ty gardzisz.

– Mówi się: dziękuję, kiedy się kończy jeść – pouczyła mama.

– Dziękuję, źle się czuję – odburknęłam i dałam nura do łazienki.

Kiedy zaczęłam nosić stanik, powróciłam do tiszertów, i to tych najbardziej rozciągniętych, wręcz opadających z ramion. Chciałam pochwalić się całemu światu białymi, elastycznymi ramiączkami. Nikt jednak nie zwracał na nie uwagi, póki nie przyszła pierwsza lekcja wuefu w nowym roku szkolnym.

– Za małe masz cycki na takie bajery – orzekły koleżanki w szatni, i to te najbardziej płaskie.

– W staniku mi wygodniej – broniłam nieśmiało swojego prawa do nowej części garderoby.

– A jak włożysz pod pierś ołówki, to ci wypada? – zapytała Dagmara tonem sugerującym odpowiedź przeczącą.

– Nie wkładam sobie ołówków pod piersi – starałam się, aby mój głos brzmiał pewnie i kpiąco, ale chyba mi nie wyszło.

Mama, której opowiedziałam o potępieniu koleżanek, poleciła mi przebierać się na wuef w toalecie.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – wyrecytowała.

– A czy to moja wina, że im żal?! – zbuntowałam się.

– Świata nie zmienisz. Albo zastosujesz moją radę, albo będą ci dzieci dokuczać. Tylko nie przychodź potem do mnie na skargę.

To był ostatni raz, kiedy zwierzyłam się mamie ze swojego problemu. Nie przebierałam się w łazience, ale też nie broniłam się przed zaczepkami koleżanek. Udawałam, że ich nie słyszę, tłumiąc płacz. Na szczęście uspokoiły się po kilku tygodniach, kiedy Kasia i Magda również przyszły do szkoły w stanikach.

MIRKA SZYCHOWIAK  
godło: „fruwam”



I nagroda w kategorii prozy

*MIRKA SZYCHOWIAK – finalistka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina. Publikowała m.in. w: „Obrzeżach”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Undergruncie”, „Cegle”, „Trumlu”. Laureatka II nagrody w Ogólnopolskim Konkursie im. C.K. Norwida, I nagrody na I Ogólnopolskiej Biesiadzie Poetyckiej w Świdnicy. We wrześniu 2005 r. ukazał się jej debiutancki tomik „Człap story” – wyróżniony rok później za debiut przez Środkowoeuropejskie Centrum Kultury. W roku 2010 zostały opublikowane dwa tomiki poetyckie autorki: „Jeszcze się tu pokręcę” oraz „Proszę nie płakać”. Wiersze autorki znalazły się także w dwujęzycznej antologii „Free over blood”, wydanej przez „Off\_Press” i „Zeszyty Literackie”. Mieszka w Księżycach pod Wrocławiem.*



## ŚCIEMA

Nareszcie odpocznę. Kocham soboty, kiedy nikt mnie nigdzie nie wzywa i nic nie muszę. Przewalam się z boku na bok do dziesiątej, potem omijam kuchnię. Pranie samo się kończy prać, jeszcze tylko nakarmię psy i koty i do ogrodu. Bez telefonu, na bosaka, nareszcie w krzakach pomieszkam.

Wiedziałam, no mówię wam – czułam, że się nie uda. Ledwo nakarmiłam stado swoich i cudzych zwierzaków – skrzypp, skrzypp furtka. Chyba ktoś nie zauważył napisu „Uwaga Bardzo Zły Pies!!!”, więc zaraz będzie granda. Tylko jeden osobnik wchodzi do mnie bez strachu: Broniu, dość uciążliwy sąsiad z naprzeciwka. Boże, cisza pod bramką, zero szczekania. Wykrakałam. Broniu wtoczył się do kuchni z miną pod tytułem „wiedziałem, że się ucieszysz na mój widok”:

– Pochwalony niech będzie dla somsiadki. Patrze ja, wozu nie wyprowadziła, znaczy sie w domu bidusia samotna, to ja pomyślał – trza wpaść i rozerwać kapeńke. Moja napiekła wczoraj chrustów i pączków, to ja do kawki przyniośl.

Żeby cię obsrało, Broniek – pomyślałam, zwłaszcza że stałam przed nim jedynie w rozciągniętym podkoszulku, bosa i rozczochrana. Ale mina przy tym filmowa, bo jak będę niemiła, to w ogrodzie nie pomoże i nie załatwi drewna do kominka.

– Panie Brońciu, pan wody popilnuje, a ja się bardziej ubiorę, dobrze?

– A na co się ubierać, jak ubrana? – sapnął sąsiad – nie ubliżając paninym strojom, to dzisiaj somsiadka w przystępnych rzeczach, panie tego. Wreście ja widzę, co i jak. Ech, te ciałko eksportowe sie ma. Skubnął ja by letko, ale po pysku bym zebrał, co?

– No! – pogroziłam palcem – muszę uważać na sąsiada, bo żona mówiła, że w młodości to chłopcy na wioskach swoje baby na klucz zamykały, jak się Broniek Walasiuk pojawiał w okolicy. Klusowało się, co?

– Zaraz tam kłusowało – Broniu wciągnął brzuch i wypiął pierś – dziurawce same lazły w łapy, to co ja na to mógł? Krew nie woda! Podobno ja miał takie coś w oku, że jak spojrział na babe, to dostawała wielkiej miękkości koło brzucha i nie patrzywszy się na okoliczności, musiała ulgi cielesnej zaznać. Somsiadka myśli, że ja kłopotu przez to nie miał? Stodołę mi podpalili sukinkoty, a ile nadziurawili opon – nie zliczę. Ja ich rozumiał, bo przecież ja cudzo własność naruszał, ale niech mi somsiadka powie – jak nie brać, jak ktoś dawa?

Broniu westchnął i siorbał kawę z takim nerwem, widocznie mu się tamte czasy przypomniały. Jego podboje miłosne były głównym tematem rozmów pod sklepem, gdzie wieczorami, po powrocie z pola – schodzili się rolnicy. Z każdym piwem ilość uwiedzionych kobiet rosła, przybywało dwuznacznych określeń, czasem dochodziło do bójek, kiedy Broniu, nieostroźnie wspominał wycieczki w kukurydzę z żoną któregoś z obecnych. Popatrzyłam na niego z boku: oczy przymknięte, lekki uśmiech. Trzeba interweniować, bo mi się tu rozklei i pół dnia będzie gadał:

– Panie Brońciu, pan niech kawkę kończy, a ja do ogrodu pranie polecę wieszać.

– Ta ja moge somsiadce klamerki podawać albo ciuchi – Broniu poderwał swoje sto kilo z krzesła.

– Świetnie, będzie szybciej – powiedziałam i zaraz ugryzłam się w język. A niech to cholera!

Prąłam dzisiaj głównie bieliznę; zaraz się zacznie – pomyślałam, niosąc miskę wypełnioną górą majtek i koszulek.

– Panie Broniu, pan mi poda klamerki, sama powieszę.

Ale Broniu nie odpowiedział. Stał nad miską i gapił się rozdzielony na małe czerwone majtki:

– A niech mnie! To takie fikumiku somsiadka na spód zakłada?! Ludzie, trzymajcie mnie, bo nie strzymam! Ja czułem, że z somsiadki artystka kabaretowa, panie tego. No, jakie to maciupkie, na ile ciała taki strzępek wlezie, co?

– Niech sąsiad da spokój, gatki to gatki.

– Wcale bo nie! Ja takich to nie widział. Moja Weronia z nogawkami ma i same grubaśne i wielkie, bo też jej dupa się jak szafa rozrosła. Jeja, jakie śliczności.

Bronek kucnął przy misce i zamiast mi pomagać, przebierał i wyciągał koszulki, figi – patrzył na nie pod słońce i cmokał, i pokrzykiwał cicho „o Chryste na niebie!”

A ja, jak durna stałam obok i śmiałam się. Tak nas zastała, przyprowadzona przez warczącego psa, Weronia Walasiukowa:

– To ja cie po wsi jak głupia szukam, złatałam się, że ledwo dycham, a ty z somsiadkom konferencje nad gaciami urządzasz?!!!

Weronia miała minę tak bojową, że aż się przestałam bać. Gruba, czerwona, z opuchniętymi krzywymi nogami, spocona i zła, zamiast straszyc, rozczulała:

Pani Weroniu – starałam się ją udobruchać – mam dzisiaj wolne i pranie wieszam, a sąsiad klamerki podaje. Napije się pani kawki?

Przysiadła na małym murku i powoli uspokajała się:

– No ja do somsiadki nic nie mam, tylko tego pędziwiatra ja sie naszukała po wsi, bo mi trza w domu pomóc, kaczki sie dzieś rozleźli, bo sztachetów nie ma kto ponaprawiać. A te dziadzisko się od rana szykuje cholera wie na co. Jakomś, wie sąsiadka – ruje dostał, bo gadanie tylko o tych sprawach erotomańskich ma. Sześćdziesiąt trzy mu idzie, a taki narowisty w gembie, że głowy i rozumu brak.

– Ty mi tu Weronia antyreklamy nie rób, lat nie dodawaj i dumot nie gadaj – Broniu warknął i sięgnął po jedwabną koszulkę – ty lepiej popatrz, jak ty sie dla męża powinna wyszykować, żeby nie tylko w gembie był zbój. Widziała ty kiedy takie majtki? No chodźże bliżej kobieto i popatrz sie!

Walasiukowa zaciekawiona podniosła się i podeszła do Bronka. Oboje zaczęli grzebać w misce.

– Oj, somsiadko! – pisnęła zawstydzona – taż to dupy i przyrodzenia nie zakryje. Wszystko na wierzch wystawione, ja by się Boga bała takie coś włożyć. Co by Broniu powiedział? Że ja jaka latawica!

– A próbowała ty kiedy? – sąsiad machnął oskarżycielsko koronkowym biustonoszem w stronę żony – a pytała się kiedy mnie – czy ja by chciał zobaczyć co inne, niż te flanele? Ty Weronia, Boga nie mieszaj w małżeńskie sprawy! Powiedz lepiej somsiadce, przez ile lat ja nawet twojego pępku nie widział, chociaż my dzieci czworo sie doczekali. Jak chciał, koszuli ci zadarł tyle, żeby kuciapke odsłonić! Chyba, żeś po kielichu była, bardziej niemrawa i w nieświadomości. Światła ja wtedy nie zamykał, to i popatrzył trochu. Ta ty nie udawaj ciemnej,

tylko patrz, czym chłopa trzeba obłaskawiać! Czy ja ci kiedy żałował na ciuchi, no gadajże!

Siedziałam na murku i przyglądałam się Walasiukom. Weronia wieszła bieliznę, a Broniek podawał kolorowe klamerki. Robili to wolno i coś do siebie szepotali. Właściwie przeszła mi złość i z przyjemnością podglądałam, jak pokazują sobie te kolorowe szmatki i chichocą. W końcu Walasiukowa odwróciła się w moją stronę:

– No, pozawieszalim somsiadce, to możemy iść.

– Nie możemy, a musim – Broniu klepnął żonkę w tyłek, aż pisnęła – chyba trza po ludzku porozmawiać – puścił do mnie oko – z własno żono. A jak somsiadka będzie miała kiedy czas, to ja by prosił, żeby Weroni powiedzieć – gdzie, jak i za ile by se mogła garderoby podratować, znaczy się, urozmaicić. To jak będzie?

– Będzie dobrze panie Broniu, może w przyszłym tygodniu pojedziemy razem do miasta, co?

– A to dla somsiadki nie subiekcja? – zapytała Weronia. – bo aż takiego musu nie ma.

– Jest, jest! – zaprotestował Broniek – u mnie jest mus jak cholera, żeby cie w tych bikiniach zobaczyć. Jak somsiadka mówi: jedziemy, to ty nie kontruj, tylko już myśl co i jak. A teraz do domu idziem, pogadać trza.

No i poszli. Broniek popychał żonę przed sobą, jakby się paliło; zamknęłam za nimi furtkę.

Dwunasta. Popatrzyłam na mój nieelegancki ogród, krzaki i poszłam do swojej kryjówki. Nie udało się leniuchowanie, musiałam przecież to napisać.

PIOTR FAŁCZYŃSKI  
godło: „Hapek”



II nagroda w kategorii prozy

*PIOTR FAŁCZYŃSKI – urodzony w 1952 r. w Ołoboku, gmina Sieroszewice, gdzie do dziś mieszka. Pisze od 10 lat. Jest laureatem wielu konkursów literackich. Jego teksty zamieszczono w ponad 30 antologiach. Samodzielne tomiki (poetyckie) to: „Nieistotny fakt” (2009 r.) i „Niedyskrecja czasu” (2010 r.). Z zawodu technik-mechanik, obecnie rencista, pracuje jako portier. Zbiera grzyby, kocha las i ptaki.*

## ZAKOLE

Koła inwalidzkiego wózka grzęzną w wilgotnej glinie i Edzio, mimo że ręce ma mocne jak niedźwiedź, sam nie dałby rady, gdyby nie Maryła, która popycha z tyłu ile sił. Biegająca wśród pól droga raz po raz zbliża się nieśmiało do porośniętego krzewami brzegu Proсны, aby zaraz gwałtownie odskoczyć, jakby spłoszona widokiem rwącego po ostatnich deszczach nurtu. Edzio w nowym, amarantowym dresie siedzi dostojnie w fotelu swego wózka, nogi opatulone ciepłym kocem, na kolanach sprzęt wędkarski. Za nim idzie żona, ubrana odświętnie – bo to przecież niedziela – acz skromnie, jak na wiekową mieszkankę Grabowa przystało. Z jej ramienia zwisa torba, w niej różaniec, termos i podwieczorek dla męża. Ciężko jej dzisiaj podwójnie, bo droga po deszczu trudna i serce jakieś niespokojne. Nie można jednak odmówić mężowi jedynej przyjemności, jaka mu jeszcze została na tym świecie. Niech sobie połowi rybki jak za młodych, dobrych lat, kiedy to – ho, ho – wielki był z Edzia rycerz. Latem, w trzydziestym dziewiątym roku na urlop z wojska przyjechał i sam jeden bagnetem zabawę rozpędził. A piękny był, wysoki, tęgi, jak huzar albo inny kirasjer. Żadna by mu się nie oparła. A on wybrał właśnie ją, Maryłę. Mimo że majątna wcale nie była. Sierota – od czasu gdy tata na wozie zboża, przy zakolu Proсны z drogi podmytej w głębie się zsunął...

Właśnie w kierunku tego miejsca Maryła z Edziem zmierza, jak każdego niedzielnego popołudnia, od czasu gdy mężowi siłę w nogach odjęło. Wolalaby, co prawda, w domu różaniec odmówić, ale obowiązkiem żony jest troszczyć się o męża w chorobie. Kawał życia razem spędzili, wiele radości jej dał, dom piękny wybudował, dostatek zapewnił, a teraz już mu tylko te rybki z radości życia pozostały. Co prawda, było też nieraz przy Edziu ciężko, bo nerwowy, porywczy był, nie dał sobie w kaszę dmuchać i jeszcze dzisiaj na zmianę pogody boli Maryłę ta ręka, którą jej kiedyś Edzio styliskiem od widel połamał,

gdy głowę nią sobie zasłoniła. Zaraz potem urodził się przedwcześnie Adaś, ale nie wyżył...

Z tą gwałtownością męża do dzisiaj zresztą ma krzyż pański. Nie dalej niż wczoraj nieszczęścia narobił i o to Maryłę serce boli. Wnuczki kotek – mały, głupi – Edziowi w szafce nabrudził. Zanim się obejrze-  
li, Edzio do kredensu podjechał, rondlem się zamachnął i tak celnie rzucił, że Kiciusia przetrącił. Był kot – nie ma kota, wiele ich łązi bez-  
pańskich, ale wnuczka, taka blada, chorowite biedactwo – to nawet nie zapłakała, tylko cała się trzęsa i sina robiła. Na to zięć honorem się uniósł i – nic nie pomoże – jutro wyprowadzają się do jego matki. Maryłę na myśl o tym, że już nie będzie Kasi bajek opowiadać, ani pa-  
cierza uczyć, coś kłuje w piersi, jakby lód się przesuwiał, coś świszczy i bulgocze w sercu. Zostanie sama w pięknym, dużym domu, sama z Edziem. Na stare i jeszcze starsze lata, już ich czterdzieści dziewięć minęło, na przyszły rok złote wesele.

\*

Maryła przerywa rozmyślenia, bo oto dojechali. Edzio wędkę szykuje, ona wózek ustawia na szczycie urwiska. Lepkiego dzisiaj, ociekającego gliną, nad zakolem, gdzie woda się kotłuje i wieczny wir jak koło młyńskie miele. Tu mąż będzie sobie do wieczora łowił, a ona trochę z boku w zielonym zagłębieniu usiądzie, pomodli się, podwieczorek przygotuje i – dzisiaj wyjątkowo – wianek z niezapominajek uplecie. Tyle ich tu rośnie, a kolor mają jak oczy wnuczki. Musi ich być dwieście, bo Kasia pytana jak mocno kocha babcię, odpowiedziała kiedyś – „dwieście razy”. A wieczorem, kiedy słowiki zaśpiewają tacie nad wodnym grobem, powrócą do domu i wianuszkami dziecko ucieszy. Tyle razy obiecywała, że będą wianki wyplatać, teraz już czas ostateczny nadszedł...

Najpierw jednak Tajemnice Bolesne – pierwsza, druga, piąta...

W piersi coś zakłuło, jakiś strach, jakby to nie powiew wiatru, lecz diabeł wierzbowymi gałązkami zawirował. Wianek upleść, bo jeśli Edzio zmarł i każe wracać, to co wtedy? Mąż jednak śpi, głowę lekko pochylił.

Nagle jakiś zamęt w dole, zakotłowała się do dna ciemnożółta otchłań. Naprężona żyłka, drga wędzisko, jaka siła ciągnie! Edzio w wielkiej, mocnej dłoni kij ściska, ale się nie budzi. Maryla podchodzi, lód

w piersi, nogi jak źdźbła trawy, w oczach czerwone płyty, mąż wciąż śpi! Jeszcze krok, ręce wyciągnięte po omacku, świst oddechu, w sercu łomot, chlust! Maryla przyklęka nad urwiskiem, zalewa ją fala gorąca. To już nie łoskot wody, to krew w skroniach. Oczy znów widzą jasno. Ciepło, spokój, ukojenie. Już!!

\*

Wyprostowana, lekka, jakby wracała z przedwojennej majówki. Wielka Tajemnica Radosna w palcach, gdzieś z tyłu śpiew słowika. Nie niesie niezapominajek. Będzie tu przychodzić na spacer z wnuczką. Nie raz – „dwieście razy”. Starczy czasu na wianki.

Milczy rzeka, milczą ryby. Stara wierzba też zachowa Tajemnicę Bolesną. Wir pod urwiskiem wolno obraca wianek z niebieskich kwiatów. Jest ich dokładnie czterdzieści dziewięć.



JANUSZ MIELCZAREK  
godło: „kiara”



III nagroda w kategorii prozy

*JANUSZ MIELCZAREK – fotografik, literat i dziennikarz. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Kapituły Fotoklubu RP. Literacko debiutował zbiorem opowiadań „Zanim wyrzucą cię z samolotu”, wydanym w 1986 r. wcześniej wyróżniony trzecią nagrodą w konkursie na debiut książkowy, ogłoszonym przez Wydawnictwo „Iskry”. Autor opowiadań nagrodzonych w latach 1978–1987 m.in. w konkursach: ZLP w Poznaniu i Zielonej Górze, im. R. Urbana w Opolu, „Tygodnika Kulturalnego”, KAW w Łodzi i innych. Po okresie aktywności w fotografii artystycznej, którą wciąż uprawia, powrócił do pracy literackiej. Ukończył książkę pt. „Hrabalowisko i inne opowiadania”, której utwór tytułowy nagrodzony był w listopadzie 2010 r. na konkursie im. S. Grochowiaka. W październiku 2010 r. odznaczony medalem Zaszłyżony Kulturze – Gloria Artis.*

## KOŁDRA

Był to jeden z tych gęstych dni późnych wakacji, które sypią upałem w nadmiarze, jakby koniecznie chciały się go pozbyć przed jesienią. Siedząc, bezwolnie poddawałem się kołysaniu tramwaju na nierównościach torowiska, a moje ramię dotykały od czasu do czasu uda stojącej obok kobiety. Na początku były to ledwie wyczuwalne muśnięcia. Teraz mocniej naparła rozchylonymi nogami, jakby chciała mnie w siebie wessać. Poczulem, że pod cienkim materiałem sukienki nie miała bielizny.

Tramwaj zatrzymał się; przez otwarte okna i wywietrzniki znowu wciskało się gorące powietrze. Za chwilę ruszył. Przymknąłem powieki, chłonąc wędrujący ku mnie sekret kobiety. Spływał na moją skórę i pajęczyną elektrycznych ścieżek wędrował ku szyi, by ostatecznie wcisnąć się w jakiś schowek pod czaszką.

Kołdra, którą trzymałem na kolanach, zsunęła się ku siedzącemu naprzeciwko przygarbionemu mężczyźnie w utyłanym malarskim kombinezonie. Poprawiłem ją i w tej samej chwili kobieta odsunęła się.

Nie zamierzałem kupować kołdry. Snułem się po sklepie, żeby w klimatyzowanym wnętrzu choć na krótko zgubić upał, ale wtedy pojawił się młody sprzedawca. Słuchałem jego słowotoku, bo nikt jeszcze dzisiaj do mnie nie mówił. Wiedział, że absurdem jest kupowanie kołdry w taki upał, ale z zawodowym uporem przekonywał, że to puchowe cudo kosztuje dzisiaj połowę ceny, którą będzie miało za miesiąc, we wrześniu. Kołdra pokryta była szeleszczącym białym materiałem w niebieskie paski, a ważąc ją po raz kolejny w dłoniach, sprzedawca powiedział mi o stopniach puszystości takich wyrobów mierzonej w skali od 1 do 12. Ta miała ich aż 9 i ważyła mniej niż kilogram. Kierowałem się do kasy, a on wciąż szedł za mną.

– Śpiąc pod taką kołdrą – mówił – nie czuje się, że cokolwiek nas okrywa. Ona będzie – szukał określenia – będzie się nad panem uno-

sić – dokończył zadowolony. – Wie pan – powiedział z uśmiechem hazardzisty, gdy sięgałem po pieniądze – to jest podobnie jak z ludźmi: z jednymi jest się na golasa i chce się żyć, a z innymi futra mało, żeby przetrwać.

Zwolniło się miejsce naprzeciwko i kobieta usiadła. Obserwując ją zza słonecznych okularów, byłem pewien, że nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie dotyk jej nóg. Siedziała wyprostowana z odchyłką do tyłu głową. Być może w ten sposób, podobne musztardówkom soczewki okularów rysowały dokładniej przepływające za oknem kontury. Te szkła naznaczały ją bezradnością, a jednocześnie dodawały tajemniczości. W pospolitej twarzy okolonej rozczesanymi na środku włosami ciemnego koloru wyróżniały się usta. Być może o podobnych mówił mi w młodości wuj Jan. Były wydatne, ale nie wydęte, prowokacyjne. Miały wyraźnie rzeźbione skosy, najlepiej zauważalne z profilu. Wargi, okolone nieco bledszą obwódką, delikatnie marszczyły się, ciemniejąc bliżej miejsca, gdzie się schodziły.

Przesunąłem nogę w jej stronę. Musztardówki niezmiennie badały obrazki za oknem, ale jej noga też się poruszyła, za chwilę druga. Twarz za szkłem odwróciła się ku mnie: – Zagotuje się panu pod tą kołdrą – powiedziała i przygryzła wargi, by je nasycić kolorem.

– Co mam zrobić?

– Położyć na podłodze – podsunęła – ludzi mniej, a kołdra w pokrowcu.

– Zrobiłem to. Swobodnie wyciągnęła nogi, które przeplotły się z moimi.

– Pan dalej? – zapytała za jakiś czas, sposobiąc się do wyjścia.

Odmamrotałem byle co, a ona ostrożnymi krokami krótkowidza przesunęła się do drzwi.

„Gdzie ja jadę? – pytałem siebie – dawno powinienem wysiąść. Prowokowany przez nią, tchórzę. Nie zasługuję nie tylko na obietnicę dotyku jej brzucha, ale nawet ręki. Jestem zdeptany strachem i pokiereszowany, jak stary kapeluszy”.

Znowu położyłem kołdrę na kolanach. „Mogło być podobnie – pomyślałem – jak kiedyś, gdy pani od prasowania koszul zrobiła to z moimi spodenkami od harcerskiego mundurka”.

Wuj Jan odliczył pieniądze i kazał przynieść koszule. Nie odpowiadała na pukanie do drzwi. Wszedłem. Stała na stole przystawionym do

okna i wieszala firanki. Odezwałem się, poprosiła o podanie spadłej na podłogę żabki. Była szczupła i wyższa od kobiet z sąsiedztwa. Miałem przed oczami jej smukłe łydki w pończochach z szewkiem. Gdy stała na palcach i manipulowała przy firance, jej sukienka unosiła się, odsłaniając ciemne krawędzie pończoch i uda przecięte podwiązkami. Banknoty wilgotniały w dłoni.

Firanki już wisiały. Kobieta zeskoczyła na podłogę, a ja wciąż trwałem w teatrze jej nóg, które przed chwilą odczarowywała kurtyna sukienki.

– Przyniosłeś za dużo pieniędzy – powiedziała odkładając paczkę z koszulami – daj, wyprasuję ci spodenki, będziesz jutro elegancko wyglądał na zbiórce harcerskiej.

Siedziałem na stołku pokurczony i spłoszony. Nie byłem jeszcze mężczyzną. Płacz nie przychodził, choć go chciałem. Moje siły odpływały w to miejsce, gdzie on, prężąc się między udami, przejmował nade mną władzę. „To straszne – pomyślałem – jeśli teraz będzie już tak zawsze”. Przywoływałem obrazki z łąk, lasów i podwórka, ale jego interesowały tylko nogi pani od prasowania koszul ubrane w pończochy z ciemnym szewkiem, schodzące się gdzieś tam, aż w niebiesiech sukienki. Sterroryzował mnie. Ssał moje siły ze wszystkich zakamarków, kostek, palców i czubków uszu.

– Gotowe – kobieta podała mi wyprasowane spodnie, a widząc, że nadal siedzę bez ruchu, dodała – możesz je założyć.

– Nie mogę. – Patrzałem na nią błagalnie.

– Co się stało?

– Pewno jestem chory – wychrypiałem zasychającym gardłem. Nigdy z nim tak jeszcze nie miałem, więc mogła to być jedynie choroba.

– Brzuch cię boli?

– Bardzo.

– Pokaż.

Odchyliłem się i kobieta ujrzała wycelowaną ku niej spod luźnych majtek moją dolegliwość.

– Masz piękną chorobę – zaśmiała się – musimy coś z nią zrobić. – Trzymając w jednej ręce odprasowaną część harcerskiego mundurka, drugą sięgnęła moich majtek. Ledwie ich dotknęła, gdy skurcz w biodrach przebił dziurę w mojej chorobie, z której prysnęło czymś białym. Przestraszyłem się.

– Teraz możesz się ubrać.

Nie mogłem.

– To jednak coś poważniejszego – powiedziała – nie powinieneś zostać z tym sam.

Rano zbudziłem się obolały od kolan po górę brzucha aż do pleców, ale nigdy wcześniej nie byłem taki zdrowy.

Wuj, zakładając jedną ze świeżo uprasowanych koszul, patrząc na mnie przez odbicie w lustrze, powiedział: – Teraz już powinieneś pamiętać, że usta i nogi kobiety powiedzą ci, czy będziesz mógł oczekiwać od niej rozkoszy. – Starannie zawiązał krawat i dodał. – Podobno piękne kobiety są dla mężczyzn bez wyobraźni.

Nie chciałem o tym pamiętać. Wiedziałem lepiej. Dlatego wyszło, jak zwykle.

Tramwaj krótko stał na pętli. Motornicza spojrzała ku mnie, jednemu pasażerowi, wypila łyk wody, ponaciągała stanik wrzynający się w przepocone plecy i spokojnym ruchem wajchy rozpoczęła kolejną rundę.

Wysiadłem na pierwszym przystanku. Nieznajoma siedziała na ławce. Podeszedłem do niej. Nie zdziwiła się. Za grubymi szklami ledwie dojrzałem bladozielony kolor jej oczu. W soczewkach okularów przeglądałem się, poutykany między srebrzącymi meniskami, jak w kręgach studziennej wody po wrzuceniu kamienia. Wstała, przez chwilę badała mnie pomniejszonymi przez szkło łuskami oczu.

– Życie składa się ze spotkań koniecznych i tych dla ciebie przeznaczonych – powiedziała i poprowadziła w stronę ciemniejących kęp zieleni. Weszliśmy między rzędy zielonych pasków rozdzielonych zardzewiałymi płachtami siatek i spróchniałych płotków. Garbiły się przy nich dziwaczne altanki, preżyły stare drzewa i straszły szkielety konstrukcji kołyszące resztkami oberwanej folii. Dorobionym z drutu kluczem otwarła furtkę.

– Rozgość się – zaprosiła, wskazując zbity z desek stolik – zrobię coś do picia. – Weszła do drewnianego domku z żółtą werandą.

Tu wreszcie było czym oddychać. W ciszy dojrzewały owoce, a wysoki świerk okrywał cieniem połowę dawno niekoszonego trawnika. Przyniosła dzbanek z zielonkawym napojem. Piliśmy w milczeniu.

– Zboczyłeś z drogi – odezwała się pierwsza – nie ma cię w miejscu, do którego zmierzałeś.

– Jestem tutaj.

– Czy twój mężczyzna też jest tego zdania? – zamyśliła się. – On jest przekonany, że zwabiło cię tu moje ciało.

– A tak nie było?

– Nie bez powodu zatrzymałam się obok ciebie. – Gasiła pragnienie, nie odejmując szklanki od ust.

– Odczuwasz potrzebę erotycznych przeżyć w publicznych miejscach?

– Gdyby tak było, przykleiłabym się do pierwszego z brzegu facecika, najlepiej młodego. – Znowu sięgnęła po napój, spojrzała na mnie, na szklankę i znowu na mnie. – Do ciebie przyciągnął mnie twój strach.

Zaśmiałem się głośno, zbyt głośno, żeby zabrzmiało prawdziwie i zapytałem:

– Byłem jedynym tchórzem w tamtej ciźbie?

– Ty bałeś się kobiety – mówiła, wodząc palcem po liniach papilarycznych dłoni. – Z góry widziałam niepokój twoich rąk na opakowaniu kołdry, niespokojne, przeszukujące powietrze palce. Przysunęła się – miała ochotę wsunąć mi je pod sukienkę. Byłam blisko, wyczułaś, że nie mam bielizny. Nikt by nie zauważył.

– Ludzie wokół ociekali potem, a twój dotyk był przyjemnie chłodny, pochodził z innego klimatu. Jak to robisz?

– Można się nauczyć panować nad ciałem. – Przynęła krawędź szklanki do ust i przesuwiała z lewa na prawo. Musiała mieć to przećwiczone, bo grube szkło, zależnie od siły, z jaką uciskała wargi, zmniejszało lub powiększało ich fragmenty, prowokując do erotycznych skojarzeń. – Żałujesz, że tu jesteś?

– W każdej chwili mogę odejść. – „Osoby z defektem – rozważałem sytuację – mają to w genach, by cierpliwie i subtelnie prowadzić grę zmierzającą do dominacji. Najpierw robiła to ciałem, teraz stopniowo włącza psychikę”.

– Boisz się mnie – powiedziała rozluźniona. Dopięła napój i za jakiś czas kilkakrotnie zacisnęła dłonie, potem je rozprężyła, pocierając jedną o drugą. Skupiona przyglądała im się, uniosła je i końce palców na dłużej przytrzymała przy skroniach. Wstała, przeszła za moje krzesło i stanęła tam. – Bądź przez chwilę cierpliwy – poprosiła. – Pomyśl o czymś ważnym dla ciebie. Najlepiej zamknij oczy.

Nie byłem poddawany takim próbom i peszyła mnie rola medium w zarosłym chwastami laboratorium okularnicy. „Muszę stąd uciekać – przekonywałem się. – Ona czyni teraz za moimi plecami tajemne, może hipnotyczne gesty, układa swoje symbole, wypowiada zaklęcia. Poczulem się ciężki, jakby z jej rozkazu rośliny z otoczenia strzyknęły ku mnie odurzającym gazem. Kiedy to się skończy, niecierpliwilem się. Ale ona ma usta, w których – jakby powiedział wuj Jan – przenikają się oba rodzaje kobiecych warg, i wąskie, gładkie, głodne kolana”.

Skończyła seans, wróciła na miejsce, zdjęła okulary i ukryła twarz w dłoniach.

– To było rok temu, może wcześniej – powiedziała wpatrując się we mnie spokojnie i z takim przekonaniem, jakby jej wzrok prześwietlał mnie i wszystko wokół. – Masz to po wypadku albo operacji z powikłaniami. Wciąż nie możesz pogodzić się z czymś dla ciebie nieodwracalnym. Nosisz to w sobie prawie jak tę koldrę. – Uśmiechnęła się. – Twój strach i słabość pochodzą z czułych miejsc każdego mężczyzny. – Sięgnęła po okulary i jej twarz zezwyczaśniała.

– Wiesz o mnie prawie wszystko. – Jej układanka miała swoją logikę. – Napiję się przed wyjściem i znikam. Z koldrą – dodałem, śmiejąc się.

– Nie, z tchórzem za kołnierzem.

– Mylisz się.

– Od jakiegoś czasu jestem nieomylna. – Zaśmiała się głośno. – No, powiedzmy prawie...

– A wcześniej?

– Nie nosiłam okularów.

– Miliony ludzi je nosi. – Łyk napoju z odrobiną goryczki pochodzącej prawdopodobnie od moczących się w dzbanku liści, przypominał zapach wczesnego popołudnia.

– Wchodząc w ten najpodlejszy dla kobiety okres dostałam od życia po oczach. – Zanurzyła palec w szklance, przesunęła go po wargach, potem wilgotny ślad zostawiła na szyi i niżej. – Wtedy właśnie zaczął słabnąć mi wzrok.

– Bez powodu?

– Bez powodu, bez powodu – powtórzyła z ironią. – To jest, niestety, cała wasza męska wiedza o kobiecej naturze.

Poszedłem ku zacienionym zaroślom. Przejrzałe, fioletowe owoce malin ponadgryzane przez ślimaki, usychały pod pajęczynami. Jak smakują takie bez soku, pokurczone, połyskujące ślimaczym śluzem? Wróciłem, sięgnąłem po szklankę i zapytałem:

– Co stało się potem?

– To cię nie interesuje. Jesteś pogubionym facetem z koldrą. Dawno temu mężczyźni nosili skóry, potem zbroje, mundury. Są chodzący najchętniej na golasa albo w majtkach, a ty masz swoją koldrę, i tyle.

– Dzisiaj ją kupiłem.

– To tylko pozorny zbieg okoliczności. Widać, jak się nią zastaniasz od świata, jak w nocy śpisz w pozycji embrionalnej i pociętym na kawałki snem zająca wyczekujesz rana. W dzień człowiek mniej się boi. Teraz czujesz podobnie: chciałbyś odejść, ale ten sam strach powstrzymuje cię.

– Tak było. Musiałem zrobić coś z nią, ze sobą i z tą sytuacją. Podszedłem do niej, ostrożnie zdjąłem okulary i ułożyłem na stoliku. Uniosła twarz, jakby oczekiwała pocałunku. Przyglądałem się jej gęstym brwiom, które u nasady wąskiego nosa łączył jaśniejszy meszek. Pochyliłem się i właśnie w to miejsce wpilem się wargami. Od języka wilgotniał aksamit jej brwi, powoli i dokładnie badałem kształt miejsca najbliższego ludzkiej duszy. Chciałem je odkryć, cieszyć się nim, i wszystkim, co jest nad i pod, i dlatego ostrożnie i czule ssalem jego smak. Gdy próbowałem ponownie ubrać ją w szkła, przytrzymała mi rękę.

– Powtórz to, proszę – powiedziała nie otwierając oczu, a gdy to zrobiłem, dodała: – Może to jest lek na moje oczy i na to, żebym nie musiała nosić szkielek, jak talerze naleśników.

– Musisz je nosić?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Naprawdę. – Nie kłamałem.

– Czasem, gdy ci coś zabiorą – mówiła powoli dobierając słowa i mrużąc oczy – łaskawie w zamian coś dają. – Wyciągnęła ze szklanki liść i rzuciła za siebie. – Ona, ta grymaśnica – obiema rękami wskazała na siebie – nie chciała, żebym świat widziała jak inni. Wyszperęła we mnie coś, czego istnienia nie podejrzewałam. – Bawiła się szklanką trzymaną między dłońmi. – Niestety, trudno dyskutować z przegna-



czeniu. A mówiąc wprost: gdy bardzo osłabł mi wzrok, w zamian zbudził się inny, nieznanym wcześniej sposób odczuwania.

– Zmyślasz.

– Nie muszę. Widzę to, na co inni są ślepi.

– Niemożliwe. Jak to się dzieje?

– Mówiłam, dlaczego zatrzymałam się przy tobie w tramwaju. Gdy go opuszczałam, nie byłeś mi już osobą nieznaną. Nie wiedziałam tylko, czy wrócisz. – Spokojnie rozejrzała się wokoło. – To proste: wszystkie stworzenia i przedmioty wysyłają promieniowanie, mają własną aurę.

– Widzisz ten cały bałagan? To straszne!

– Gdyby tak było, to po paru dniach skończyłabym u czubków. Na początku jest sygnał, który możesz ominąć albo się nim zainteresować. Są słabsze i mocniejsze. Czasem celowo się go wywołuje. Tak się zaczyna. – Oparła się wygodnie. – Niedawno zauważyłam, że niektóre, lubiane niegdyś obrazy oglądane w oryginale, teraz odbieram inaczej.

– Co się na nich zmieniło?

– Są identyczne, ale dzisiaj widzę na nich aurę pozostawioną przez malarza. Czasem jest tak wyraźna, że można spróbować określić, w jakich okolicznościach powstał obraz.

Dość dawno nauczyłem się niczemu nie dziwić, ale nie mogłem uwierzyć, że jakiś niematerialny pyłek świetlny wciąż jeszcze łączy osobę, której być może na świecie już nie ma, z kawałkiem zamalowanego przez nią płótna lub tektury.

– Nie jesteś pierwszym niedowiarkiem. – Przymknęła oczy i bawiła się skubaniem brwi. – Obrazy ogląda się od święta – powiedziała po chwili – częściej trzeba reagować na sytuacje pospolite, codzienne.

– Opowiedz jakąś – poprosiłem.

– Miałam ich kilka. – Zamyśliła się. – Powiem ci o ostatniej, sprzed paru dni. Poszłam do baru w sąsiedztwie, po piwo. Używam je czasem przy myciu włosów. Rządzący przy bufecie łysy rzucił chamski dowcip o moich patrzalkach. Zarechotała cała knajpa. Zjeżyłam się i krzyknęłam do jego pipy, że pożyczę szkielek, gdyby nie mogła znaleźć w spodniach potrzebnego jej instrumentu. W zaległej nagle ciszy parsknął tylko ekspres do kawy. Facet ruszył ku mnie. Krzyknęłam do barmana, żeby dzwonił po policję, bo ten pan ma przy sobie pistolet. Trafiłam, rzucił kuflem, szarpnął dziewczynę i wybiegli.

– Ryzykowałeś, byłaś sama.

– Zawsze to robisz, kiedy się musisz bronić – uśmiechnęła się. – Po hecy bałam się wyjść z baru. Rozdygotana, poprosiłam jeszcze o piwo na miejscu. Barman, podając je, przyglądał mi się chwilę, nachylił i zapytał, skąd wiedziałam, że tamten miał pistolet? Pokazałam na okulary, dałam mu je do ręki.

– On naprawdę miał broń?

– Nie wiem, wszystko działo się bardzo szybko. Wychwyciłam tylko promieniowanie metalu o podobnym kształcie. – Sięgnęła do mojej dłoni, obserwowała mnie minutę, może dwie, zamknęła oczy i trwając tak, powiedziała: – Twoja aura powoli się zmienia, w niektórych miejscach pojawiły się smugi ciepłej zieleni. – Zbyt gwałtownie przechyliła szklanekę i napój polewał jej się na szyję i piersi. – Ten kolor niesie dobre samopoczucie, nawet zdrowie. – Otrzepała sukienkę. – Muszę się z tego obmyć, zaraz obsiądą mnie osy. – Odeszła i zza krzaków wyciągnęła starą ocynkowaną wanienkę z jednym uchem, zamontowała do kranu węża i przełożyła go przez zwisające z gałęzi metalowe kółko. Zrzuciła sukienkę i naga stanęła pod strumieniem wody.

„Świetnie jej to poszło – stwierdziłem – natomiast rozbieranie się mężczyzny przed kobietą, to dla mnie najbardziej tandetny z teatrów. Przy moim wyidealizowanym widzeniu kochania się te sflaczałe majtki i skarpetki, nie dające się akurat rozwiązać sznurowadła i przepocone podkoszulki składają się na wizualną impotencję takiej sceny”.

– Jest świetnie – wołała prychając wodą. – Nie chcesz splukać z siebie upału?

Nie odpowiedziałem. Poprosiła o zabranie okularów, których bała się uszkodzić.

Gdy trzymałem je w rękach, były obcym dla mnie zlepkiem kawałków drutu i szkła. „Zgniotę je, połamię i wyrzucę gdzieś za siebie – knulem. – Jeśli widzi więcej od innych, to poradzi sobie bez nich”.

Poszedłem w zacieniony kątek trawnika. Wołała, pytała, gdzie jestem? Milcząco wpatrywałem się w szkła z zabieleniami, jak krążki szronu. Byłem ciekawy, jaki jest świat po ich drugiej stronie. Zamknąłem oczy i powoli naciągnąłem drucianą lornetę. Gdy je otwarłem wszystko wokół pękło zdeformowane, wałąc się i krzywiąc, jak w gumowym lustrze. Rozpływało się, powracało i znowu odjeżdżało w inność. Ból zakleszczył się w skroniach. Szybko zrzuciłem okulary.

Kobieta przerwała kąpiel i nieporadnie wychodząc z wanienki, upadła.

– Jeśli odchodzisz – zawołała, podnosząc się na czworakach – nie zapomnij koldry.

Naga i ledwie widząca, próbowała iść ku stolikowi. Mimo że poruszała się niezgrabnie, dobrze wyglądały jej nieduże, pewne swoich zalet piersi dojrzałej kobiety, lekko zaznaczony brzuch i szczupłe biodra. Każdy jej krok burzył zastawioną przeze mnie pułapkę. Czuję się nędznie. Naga i bezbronna przerastała mnie.

– Z trudem doszła do stolika, na którym wcześniej położyłem okulary. Przewróciła dzbanek, ale je znalazła. Szybko odeszła do domku. Wróciła po jakimś czasie okryta ręcznikiem i stanęła do mnie profilem.

– Każdy może się stać bohaterem pornosu z komórki, za złotówkę – mówiła, jakby do siebie i gładziła mokre włosy. – Zachłynać się sztuczną spermą strzykającą na silikonowe cycki w czasie orgazmu z puszki. I to mu wystarczy. Złotówka nie majątek, można użebrać. – Odwróciła się ku mnie, oparła dłonie na stoliku i wyrzuciła z siebie:

– Jesteś złym człowiekiem! Złym – powtórzyła.

Nie patrzałem na jej twarz, na oczy skryte w szklanych klatkach i usta koloru oczekiwania. Widziałem jej dygocące ręce i powiedziałem:

– Tak, chciałem nim być.

– Dlaczego?

– Wszystko potrafisz wytłumaczyć? – zapytałem i prawie w tej samej chwili rozległ się trzask łamanej gałęzi starej jabłoni, a razem z nią z piskiem spadł na ziemię kot.

– Edek! – krzyknęła – miałeś nie gonić ptaków.

Kot otrzepał się lekko oszołomiony i skoczył w słońce na barierce werandki.

– Czeka na jedzenie – powiedziała – przynoszę mu, jak tu jestem. Jesienią stracił oko, sąsiad przywalił mu łopatą, ale się wylizał. Nakarmiła kota, potarmosiła dla zabawy i wróciła.

– Zbliża się najpiękniejsza pora dnia tego miejsca. – Wystawiła twarz ku zniżającemu się słońcu. – Teraz zaczyna ono żyć własnym szaleństwem w światłach i spokojem w cieniach. A wszystko to nad małą garstką wielkiej ziemi. – Zatopiała dłonie we włosach i trwała tak, jakby zapomniiała o mnie. – Pójdę się ochłodzić – powiedziała zdej-

mując okulary. – Bez potrzeby dmuchnęła w szkła, spojrzała w moją stronę i położyła je obok. – Zaprowadzisz mnie tam? – zapytała i chwilę później podała dłoń. Po kilku krokach zatrzymała się.

– Chłopaku – powiedziała, a mnie przypomniała się pani od prasowania koszul – wyrzuć z siebie tamten strach. – Dotknęła mojego ramienia. – To miejsce już poznałam. – Poprowadziła rękę ku szyi. – Z tym się zapoznam. – Staliśmy naprzeciwko siebie, a jej oczy przekonywały, że widzą świat czysto i precyzyjnie. – Nie bój się dawać czułość – gładziła mi koszulę na piersi – jesteś do tego stworzony. Od dzieciństwa uzbierały się w tobie całe jej pokłady.

– Pod uspokajającym ciepłem jej dłoni przełknąłem kamyk, ale nie zdradziłem się, że tak nie było.

– W pewnym wieku – powiedziała dotykając mnie policzkiem – najcenniejsza dla ludzi jest czułość. To ona jest przedsiionkiem rozkoszy i ona rodzi w nas chęć patrzenia w gwiazdy. – Objęła mnie i poszliśmy ku wanience z jednym uchem.

– Polewałem ją strumieniem chłodnej wody, ku któremu wystawiała twarz, głowę, plecy. Zgarniała ją na piersi, kulila się, śmiała i przyśkała ku mnie.

– Nic nie widzę – wołała śmiejąc się – mam zalane oczy i uszy. Może nawet się topię.

– Jestem tutaj.

– Teraz na ciebie kolej – zawołała – chodź, wsiadaj, popłyniemy razem tym okrętem.

Zrzuciłem mokrą koszulę i resztę, i stanąłem przy niej. Teraz ona polewała nas oboje z góry. Woda zgarniała na twarze lepiące się do skóry włosy, zalewała oczy i, spływając, rozchyłała wargi. W pewnej chwili kobieta wypuściła z ręki końcówkę węża, która wpadła do wanienki. Woda podnosiła się coraz wyżej i wyżej, zatapiając nasze nogi. W mokrą trawę wsiąkał zachłannie upalny dzień.

Przesunąłem palce po krawędziach jej warg. Ledwie ich dotykając, czytałem drgające własnym życiem pomarszczenia różowych harmonijek. Za którymś razem rozchyliła je i zassała mi palce.

– Rób tak, proszę, więcej nie musisz. Zapomniałam, jak to smakuje.

Jej ręce powoli zsunęły się z moich ramion i z kilkoma nie wyschniętymi kroplami wody spływały po plecach coraz niżej i niżej, aż zatrzymały się w miejscu, do którego chciały sięgnąć.

Mój smutny bagażowy – żal straconego czasu – zapomniał o mnie.

W górze był nagrzany błękit dnia, za którego krawędzią czekała noc, a dalej środa sposobila się na dyżur. Tego dnia niewysoki mężczyzna w białym kitlu, o suchej, za bardzo wymytej skórze, ma odczytać wyrok. Może ją zapytam? Nie, powiedziała, że jest lepiej. Człowiek w białym stroju uśmiechnie się służbowo i oznajmi: – Jest pan szczęściarzem! Potwierdzę, ale nie powiem mu, że przy wiedzy jego i tych wszystkich mądrych narzędzi, nie wie jeszcze o tylu nadzwyczajnych rzeczach.

Trawy lepiły się do skóry, a od ziemi niesło gęsty zapach lata.

– Piękna jesteś – powiedziałem nie otwierając oczu, zwrócony ku niebu – piękna swoją niezwykłością.

Ukryła twarz w dłoniach, potem podniosła się na łokciu i odwróciła ku mnie. Jej nagość wpatrywała się w moją, choć przecież już się poznały.

– Teraz mógłbyś już odejść – mówiła z tak bliska, że szczęśliwie słyszałem tajemną muzykę jej gardła, wilgoci języka, podniebienia i warg. – Dałeś mi słowa przybyłe z krańca świata. Pozostaną we mnie do chwili, gdy na ten kraniec będę się sposobić.

– Życie składa się ze spotkań koniecznych i tych dla ciebie tylko przeznaczonych – przypomniałem. – Dobrze powtórzyłem?

– Bardzo dobrze. – Położyła mi rękę na piersi, a palcami drugiej spacerowała po moim profilu. – Wiesz – uśmiechnęła się – w tym zabawnym domku jest łóżko, ale nie było jeszcze koldry.

C.XI.2010 r.

ELŻBIETA BORKOWSKA  
godło: „Durbaszka”



wyróżnienie w kategorii prozy

*ELŻBIETA BORKOWSKA – urodzona w 1962 r. w Wołczynie, gdzie mieszka i pracuje jako polonistka w PSP nr 2. Jej teksty były wielokrotnie publikowane w lokalnym piśmie literackim „Ulotna Przestrzeń”, a także ukazały się w „Kozimryнку”. Laureatka wielu konkursów literackich: ATA 2009 Namysłów, II Ogólnopolski Konkurs Literacki „O Różę Karoliny” 2009 i 2010 r., ATA 2010 Namysłów, XVII Konkurs Literacki „Krajobrazy Słowa” w Kędzierzynie-Koźlu.*

## OBRAZKI JAK ONI – LUŻNO ZE SOBĄ ZWIĄZANE

### JAK LUDWIK Z ORMO WOJOWAŁ

Ostatni dzień kwietnia zaskoczył ożywczym deszczem. Postął chwilę na progu, popatrzył na pola i pokiwał z zadowoleniem głową. Tak. Będzie rosło w oczach i zazieleni się, jak nadzieja w sercu, że to już koniec zimy. Zgasił sporta i czubkiem buta zagrzebał niedopałek w trawniku. Nie miał zamiaru narażać się na marudzenie Rozalki, że rzuca pety pod progiem.

Czas na stryszek. Po stromych schodach wszedł na poddasze i zaczął przerzucać zgromadzone tam graty. Szukał flagi i psioczył na bałagan pełzający pod dachem starego domu. W końcu dostrzegł zgubę – wciśniętą niedbale za stos makowin. Nerwowym szarpnięciem odwinął płótno chroniące przed kurzem. Biało-czerwona roztańczyła się w dłoniach, a on pogłaskał materiał jak dziecko. Wyjął papierosa i grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Znalazł pudełko. Nie. Tutaj się nie pali. W końcu jest na strychu, a przecież nie chciał puścić z dymem miejsca, które trudno było pokochać.

Stary budynek ponemieckiej poczty nijak, jego zdaniem, miał się do siedliska pozostawionego na Wołyniu. Tam było gniazdo – prawdziwe, uwite własnymi rękami. Jeszcze jabłonie i grusze. Tęsknota wzięła górę nad terażniejszością. Nie pozwalał jednak zbyt długo panoszyć się żalom, więc pociągnął nosem, wzruszył ramionami i z flagą podążył w stronę świetlika. Jutro pierwszy maja, a on szanował dzień poświęcony ludziom pracy. Na pochody nie chodził. Gardził tłumem paradującym przed miejscowymi kacykami i za nic miał zachęty ze strony znaczących w powiecie, by jako sołtys włączył się w ogólną radość. Tłumaczenia, że wypada, zbywał lekceważącym prychnięciem i rok w rok rzucał zdanie:

– Wiem, co trzeba, a co nie. Dajcie święty spokój. Wam może mus.

Pierwszomajowa oporność Ludwika była znana w okolicy i rzeczywiście nikt nie był w stanie wyciągnąć go z domowych pieleszy. Tego dnia nie pracował. Poza niezbędnymi zajęciami w obejściu nie robił nic, co wymagało fizycznego wysiłku.

Rozalka też miała mniej obowiązków niż zwykle. Szykowała dobry obiad, a po południu oboje szli do kościoła, by oddać cześć świętemu Józefowi – patronowi robotników. Jak miał wytłumaczyć naczelnikowi gminy, że on tę biało-czerwoną wywiesza na chwałę Józefa i trudu prostego człowieka? Z góry zakładał, że żaden biurkowy ćwok nie pojmie jego postępowania. Było jeszcze coś, co przypinało mu w oczach władzy łatkę. Biel i czerwień dumnie powiewała pod jego dachem przez pierwsze trzy dni maja. Z roztargnienia?

Tego roku było jak zwykle. Gdy zniknęły z domostw chorągwie, u Ludwika nadal radośnie szumił sztandar i bawił się w szeptanki z wiatrem. Sołtys świętował, bo trzeciego maja nawet krowa Rozalki wiedziała, że czas pokłonić się Najświętszej Maryi Pannie Królowej Polski i wydarzeniom z 1791 roku. Krowa tak, ale lokalne ORMO również było uświadomione w datach ku czci, bo postanowiło zrobić porządek z fanaberiami starego uparciucha.

Leniwe popołudnie zmogło nawet psa, który po sutym posiłku wylegiwał się w trawie. Gospodarz kurzył papieroska, a Rozalka zajęta obracaniem paciorków różańca czujnie spoglądała na kury, bo nie cierpiała niszczenia starannie obsianych grządek.

Wtedy właśnie zaskrzybiała furtka i wleźli na podwórko – zdecydowani, butni, i mocno nastroszeni. Powitania nie było. Ten, który pierwszy wkroczył na obejście, dyszkantem zagaił:

– Sołtysie. A dlaczego u was flaga wisi? Już po pierwszym maja? Zapomniało się zdjąć?

Ludwik poprawił kapelusz na głowie, wygodniej rozsiadł się na ławce i niedbale odparł:

- Nie wisi, tylko łopoce i nie zapomniało się. Tak ma być.
- No jak nie zapomniało się? Już po święcie pracy. Trzeba zdjąć.
- Co trzeba, a co nie, wiem sam z siebie. Doradca się znalazł.

Pociągnął prawie wypalonego sporciaka, pogłaskał psa, który prze-rwał drzemkę i uznał za stosowne warowanie przy starym. Nagli goście nie wzbudzili w kundlu zaufania, więc do pilnowania pana dołożył powarkiwanie i nerwowe bicie ogona – takie psie zakłócanie ludzkiego dialogu.



Uspokoił głaskaniem zwierzaka i gasząc papierosa rzekł cicho, ale dobitnie:

– A won mi z podwórka! Wara wam od tego, co z dachu powiewa i dlaczego!

Nieproszeni goście widząc, że gospodarz nie ustąpi, uznali dalszą wizytę za zbędną i ruszyli ku furtce, ale żeby nie polec całkowicie w potyczce, jeden z nich rzucił buńczucznie:

– Sołtysie! Będziecie się tłumaczyć wyższym od nas. Będziecie! I znowu zapłacicie grzywnę.

– Tłumaczyć się będę przed Bogiem, bo on u mnie najwyższy, a na grzywnę mam odłożone. Poszli mi stąd!

Ostatnie słowa smagneły batem ormowską dumę, a że sołtys zakończył dyskurs trzaśnięciem drzwi, nie zostało nic, jak ostatecznie opuścić podwórko i zapakować się do zdezelowanej syrenki. Ten zmordowany kacem był zadowolony, że może sobie pójść. Pamiętał, że za rogiem jest sklep, a zimne piwo może uratować mu sponiewierane procentami ciało, że o stanie ducha już nie warto mówić.

Rozalia zastanawiała się, czy Ludwiczek nie przyplaci owych odwiedzin skokiem ciśnienia i kołataniem serca. Nic z tych rzeczy. Szanowny sołtys zasiadł ponownie na ławce pod murem domu i fajcząc smrodziaka – uśmiechał się do własnych myśli. O czym dumał? O nadętych gębach ormowców, o tym, że jeden z nich śmierdział niemiłosiernie czosnkiem, a ten z płamą na marynarce – walczył z kacem i sam nie wiedział, po jaką cholere trafił na wieś, i o co chodzi w tej wymianie zdań.

Wieczorny chłodek przegonił starego z podwórka i wielce zadowolony ze starcia z tymi, jak zwykł mawiać, *podnóżkami*, poczłapał do domu na zasłużoną kolację, którą Rozalia wyśpiewując *Wszystkie nasze dzienne sprawy...*, stawiała na stole. Podjadając ulubioną polewkę, planował prace gospodarskie na kolejne dni. Uczciwy człowiek nie łązi pyskować po obcych obejściach, ale dba, by nic nie zostało zaniedbane, zaniechane z lenistwa i braku organizacji. Tak żył od zawsze i dumny był, że mimo lat na karku radzi sobie ze wszystkim, a o przyjemnościach życiowych też nie zapomina. Wymagania miał niewielkie: film w telewizji, poranna gazetka, wizyty u córki w mieście, by nacieszyć się wnukami – zwłaszcza pannicą, której zamarzyły się uniwersytety. Upór miała po nim, więc wierzył bez reszty, że dopnie swego, a on będzie dumny, bo szkoły cenił nade wszystko.

Krzątanina wypchnęła z pamięci przepychanki z trzeciego maja. Wyszedł z konfrontacji bez uszczerbku, pogonił i ponownie poczuł się gnębicielem zaprzańców. Było i minęło – nie miał zamiaru wracać do epizodu, który co roku zaczynał się, i kończył się tak samo. Dziwił się, że jeszcze się i jemu, i ormowskim aktywistom nie znudził ten kołowrotek.

Codziennosc biegła swoim rytmem – wyznaczanym porami dnia, deszczami lub odwiedzinami sąsiadów. Było jak zwykle o tej porze roku: ręce pełne pracy, wieczorne zmęczenie i wczesne wstawanie, bo zwierzyzna w gospodarce, a i matka ziemia ma swoje prawa.

W ten naturalny porządek wdarło się jednak wydarzenie, które odpornego na życiowe niespodzianki Ludwika wpędziło w panikę i zachowanie niegodne wielokrotnego pogromcy wrogów trzeciomajowego święta. Najpierw do domu wpadła Rozalia:

– Ludwik! Przyjechali po nas! Tośmy się doigrali!

Spojrzał zza firanki i zaniepokoił nie na żarty. Z samochodu gramolili się trzej mężczyźni. Miny poważne, teczki pod pachami, garnitury porządne. Kierowca, który wysiadł z auta, czegoś pośpiesznie szukał w bagażniku. Dziwne to mu się wydało, bo od zdarzenia flagowego minęło sporo czasu, a tu taka wizyta. Zapachniało kłopotami, więc z werwą krzyknął do Rozalki:

– Matka! Zamykaj drzwi na klucz! Siłą nas nie wezmą!

Rzuciła się do drzwi jak młódka i przekreśliła przezornie oba zamki.

– I co? Udajemy, że nas nie ma? Przecież się nie da. Wróć.

– Zanim wrócę, coś wymyślę. A teraz cicho.

Przetrzymali głośne pukanie, potem łomotanie i szarpanie za klamkę. Żal był słuchać, jak biedna psina szczeka na całą okolicę – próbując przepłoszyć intruzów.

W końcu hałasy ustały i dał się słyszeć warkot odjeżdżającego auta. Poczekali jeszcze chwilę – na wszelki wypadek, gdyby miałby być to jakiś podstęp i próba zmylenia obłączonych. Jako pierwszy głowę zza drzwi wytknął Ludwik i konspiracyjnie szepnął:

– Pojechali. Chyba tym razem nam nie odpuszczą. Trza się jakoś wywiedzieć, kim oni byli.

– Jakie nam? – odparła rezolutnie. – To twoja wojenka, a ja tylko nerwy latami tracę.

Z wiadrem w ręce wyszła na zewnątrz. Wtedy dostrzegła na ławce bukiet kwiatów, pudełko czekoladek i jakiś papier. Przytargała znalezisko do kuchni i położyła na stole.

– No popatrz. Zapomnieli.

Wziął ozdobną kartę do rąk i ze zdziwieniem przeczytał na głos: *Gratuluje państwu znakomitych synów, którzy wzorowo pełnią służbę wojskową...*

– Słuchaj matka. Zabrali jak własnych, sami musimy harować na roli, a oni z podziękowaniem jadą i czekoladkami jak na imieniny. Pfuj! No już ja im!

– Daj spokój. Nie poradzisz nic. Co ty możesz człowieku? Odpuść. Na samym początku odpuść sam sobie, bo zdrowie szargasz, a i mnie to wszystko nie służy.

\*

Tym razem ceremoniał kurzenia papieroska na ławce trwał dłużej niż zwykle. Sapał, wiercił się, pochrząkiwał, by w końcu wrócić do domu i zapytać:

– Rozalia? A maszyna do szycia sprawna?

– A czemu by nie? Nic jej nie jest – podniosła głowę znad modlitewnika i spojrzała na męża zaintrygowana, a jednocześnie przestraszona. Wyczuła zarodek nowych problemów, a tych miała serdecznie dość. W chwili, gdy chciała zrugać Ludwika, usłyszała:

– Skoro maszyna w porządku to obiecaj, że uszyjesz watykańską flagę.

– A na cóż ci taka? Co wymyśliłeś? – jęknęła zaniepokojona nie na żarty.

– Na dwudziestego drugiego lipca wywieszę naszą i watykańską.

– A jakie święto kościelne w ten dzień? Coś mi się nie widzi.

– Widzi, nie widzi. Niech kombinują Rozalka. Będą miały głąby zagadkę.

\*

Dziwnie wesolutki poszedł posprawdzać zamki i okna przed nocą, a ona przykrywając się pierzyną mruknęła:

– Póki co, to i ja policzona w te głąby. Po co mu ta watykańska?

Zgasiła lampkę i obiecała sobie, że jutro wybije mu z głowy flagową awanturę. Jeszcze brakuje, żeby Watykan z ormowcami mieszać.

Nie. Nie uchodzi. Z tą myślą zamknęła oczy, bo zmęczenie wzięło górę nad planowaniem przywracania męża do porządku.

#### TAKIEGO ZWIERZA NIE MA

Siedzieli przed telewizorem i oglądali program przyrodniczy. Za oknem panoszył się ciepłem i zapachami czerwcowy wieczór, a na ekranie radośnie hasały małpy, kwitły osobliwe kwiaty. Odgłosy dżungli denerwowały kota śpiącego na kolanach kobiety, więc głaskaniem raz po raz uspokajała zaniepokojony kłębek i ten przestawał wiercić się pod ciepłem dłoni.

Na monitorze ukazało się zbliżenie wielkiego goryla. Walił się w piersi dla podkreślenia pozycji w stadzie i rozglądał dumnie po skulonych pobratymcach. Wtedy mruknęła:

– Eeeee tam. Idę spać. Marnacja czasu gapienie się na zwierza, którego nie ma.

– Jak nie ma? Przecież widzisz, że jest – odparł zaskoczony zdecydowanym stwierdzeniem.

– Jest? W telewizorze chyba. Zawracanie głowy – podtrzymała pełne wątpliwości stanowisko. Rzadko wygłaszała własne opinie, więc zdziwiła go niezmiernie.

Zanim zdążył wywieść perory na temat jej ignorancji, wstała z fotela i poczłapała do drugiego pokoju zmówić wieczorny różaniec. Za nią podążył kot, który zazwyczaj wspomagał mruzeniem modły i tylko od czasu do czasu przeciągał się leniwie – znudzony monotonią wspólnego pacierza.

Ciszę przerwał Ludwik. Ochłonął, toteż postanowił wkroczyć w jej spokojność i wyrывая z zamyślenia, oznajmił stanowczo:

– Jutro wstajemy wcześniej i jedziemy do miasta.

– A niby po co?

– Jak to po co? Goryla zobaczyć i tyle – powiedział takim tonem, jakby składał epokowe oświadczenie.

Lekko złośliwy uśmiech przebiegł przez usta kobiety. Pomyślała, że Ludwiczek czasami nadyma się tak, że przypomina ich organistę albo prezesa geesu. Odgoniwszy skojarzenie zapytała kąśliwie:

– Że kogo zobaczyć?

Zastanowiła się przez chwilę. Ślubny chyba zgłupiał do cna. Gdzie i co chce jej pokazywać? Sierściastego z telewizji? Nie ma takich i już. Ponownie uśmiechnęła się i zadała kolejne pytanie:

– A zwierzyna domowa?

– Załatwione. Gospodarkę oporządzi Łagocka, a my jedziemy. Zobaczysz nie tylko goryla, ale i inne zwierzaki, abys nie mówiła przy następnej okazji, że ich też nie ma.

Pokojowo pokiwała głową, a będąc pewną, że do rana przejdzie mu chęć na wyjazd, odpowiedziała:

– Dobrze, dobrze. Idź spać.

Rankiem obudziło ją trzaskanie drzwiami i odgłosy z kuchni. Potem kroki w pokoju i gromkie:

– Rozalka! Ty w łóżku? Szykuj się. Pekaes nie będzie czekał. Śniadac nam trzeba.

– Aleś się zawzięł. Boży dzień marnować na urojenia!

Wstała jednak, bo знаła upartość męża i wiedziała, że nie odpuści. Godzinę później siedziała w autobusie. Ile jeszcze razy w życiu będzie zgadzać się na wymysły Ludwiczka i kiedy wreszcie mu się sprzeciwi? Od lat żyje według jego zamysłów, dla świętego spokoju godzi się na wszystko, ale czasami ma ochotę przyłożyć mu miotłą albo jakimś ostrzejszym słowem. Ot... Chociażby heca z flagą papieską. Ileż się natłumaczyła, naprosiła, ale gdzie tam... Zaparł się, naobrażał, aż w końcu uszyła, co chciał i jak nic będzie kolejna afera – lipcowa.

Dojechali w milczeniu do miasteczka, a tam przesiedli się do pociągu. Nie lubiła kolei od czasu, gdy wraz z czwórką dzieci tłukła się tygodniami w bydłym wagonie z Wołynia. Ludwik szlag wie gdzie, najmłodszy płonął od ospy – brud, smród, a wieźli niby do Polski. Jakiej znowu Polski? Przecież dom od zawsze był w ojczyźnie, a skołatana głowa nie mogła pojąć, co właściwie się dzieje. Stukot kół śnił się długo po nocach i ilekroć widziała wagony, wspomnienia wracały – bolały starą raną. Jeszcze gorzej zносиła widok małej stacyjki, gdzie kazano wysiąść i czekać. Jak się okazało, czekać na zapijaczonego woźnicę, który zawiózł ją z dziećmi do dużego budynku z czerwonej cegły i wyrzuciwszy tobołki na podwórku, odjechał bez słowa. Pamiętała obcy zapach pomieszczeń, cudze sprzęty, portrety spoglądające wrogo ze ścian. Dzieci dawno spały, a ona tkwiąc na kuchennym

stolku, płakała cicho i zastanawiała się, kiedy i jakim cudem wróci do domu, bo tutaj na pewno Ludwik nie trafi, nie znajdzie, bo nawet nie wie, gdzie szukać.

Potem zaczęło się wypatrywanie. Nie wiedziała, na co czeka. Czy na powrót, czy raczej na oswojenie się z nową sytuacją, bo powoli dojrzewiała w niej myśl, że nie ma nadziei na odwrócenie tego, co się stało i trzeba się pogodzić, spróbować nie płakać po nocach.

Z rozważań wyrwał ją gwizd lokomotywy. Drgnęła i z ulgą przyjęła rozproszenie myśli. Spojrzała na męża. Drzemał, a ona dla zabicia nudy podróży wyjęła z torebki bułkę i zaczęła zajadać ze smakiem.

W duchu śmieszyła ją ta wyprawa. Miała dzisiaj tyle pracy w ogrodzie, a ten znowu za wszelką cenę chce dowieść, że pobłądziła i nie ma racji. Do tego duże miasto. Nie lubi i nie czuje się tam dobrze. Ludzie biegają jak opętani, spaliny, hałas. Gdzie on znajdzie goryla? W zoo był raz – z wycieczką parafialną. Jak teraz trafi, gdzie zamierzał?

Poradził sobie i bez błędzenia po ulicach znaleźli się wkrótce u celu. Przestrzeń pełna zwierząt zamkniętych w klatkach zasmuciło ich tak bardzo, że chęci Ludwika do udowodnienia istnienia goryla nieco osłabły. Ona oczy miała wielkie i mamrotała:

– Coś jest nie tak. One nie w domu, nie u siebie. Smutne i mocno niemrawe.

Nie mówił nic. Przypomniało mu się, że za pierwszym pobytem w tym miejscu, też miał ochotę wrócić szybko do domu, stanąć w sadzie i spojrzeć przed siebie – hen ku linii lasu. Sad, łąki, pola, ściana drzew – widok zza płotu zawsze go uspokajał.

W końcu znaleźli się przed szklaną taflą, za którą siedział ogromny, włochaty smutas – niepodobny do hałasnika z telewizji. Wielki, pysk podobny, ale nie było widać ani tamtej buty, ani uciechy. Draapał się leniwie po zadzie i od czasu do czasu ziewał, spoglądając na ludzi.

– Widzisz Rozalka. Taki zwierz jest.

– No niby jest.

– Jak niby?

– Nie widzisz, że niby? – syknęła wyraźnie rozdrażniona. – A co ci będę tłumaczyć. Oczu nie masz, czy jak? – dodała niezbyt potulnie jak na nią.

\*

Droga powrotna bardzo nużyła, a pod powiekami kobiety nadal tkwił obraz nieszczęśnika w klatce. Niespodziewanie olśniła ją karkołomna myśl. To szachrajstwo. Ptaki, wielkie słonie, pręgowany tygrys i cała reszta – mogą być, ale niby goryl...

– Ludwiku... Małpa to przebieraniec – oznajmiła stanowczo.

Podniósł głowę i wgapiał się w żonkę, jakby pierwszy raz zobaczył. W końcu z niepewnością zapytał:

– Coś wymyśliła kobieto? Jaki przebieraniec?

– Sam mówiłeś, że nie wszystko, co się widzi, musi być prawdą.

– A co do tego ma goryl?

– Chyba ma. Jakiś inny od tego w telewizji. Może i tamten jest, ale ten to czysty oszukaniec.

– Niby dlaczego?

– No tak jak z Ruskimi w kosmosie?

– Że jak? – prawie osłupiał i wgapiał się w Rozalkę z miną godną uwiecznienia w historiach rodziny. Niezrażona dodała:

– No latali, czy nie? Sam mówiłeś, że Ruskie to wykombinowali, a potem Amerykanie, żeby im dokuczyć, na złość i pośmiewisko wymyślili łażenie po Księżycu.

– Bo tak było – na chwilę wróciła mu równowaga ducha.

– No to ja ci mówię, że ten w zoo też wykombinowany. Bałamucstwo podobne. Mamią ludzi i podsuwają pod oczy, czego nie ma.

– Rozalka... Goryl przywieziony. Wyrwany z domu. Nic dziwnego, że nieśpieszny, bez chęci do życia. Do tego ściana ze szkła – gładka i czysta, ale nie ma powodów, by radośnie walić się w piersi. Lepiej nie dywaguj, bo zapłaczesz się do imentu.

\*

Pożałował, że dał się namówić na wagon dla niepalących. Z przyjemnością wciągnąłby dymek w płuca i zastanowił nad sensem eskapady do miasta i podejrzeniami Rozalki, która patrzyła na niego z wyraźną kpina w oczach. Trudno... Jakoś wynagrodzi jej rozczarowanie. A wielka małpa? A kto tam wie? Może kazali tkwić jakiemuś nieszczęśnikowi za szybą.

## POWRÓT W NIE SWOICH BUTACH

Jego decyzje zawsze zaskakiwały rodzinę. Oznajmił córce i najstarszemu synowi, że wybiera się w ojczyźniane strony, a oni jadą z nim. Nie sprzeciwiali się. Skoro powiedział – należało zrobić, czego od nich oczekiwali.

Nie pamiętali rodzinnej wsi. W dowodach mieli zapisane miejsce urodzenia – ZSRR, Tatyne. Rozproszone obrazki kołatały się w głowie pierworodnego: ukraińska niańka, kołysanki, dorożka do kościoła, jagody wtykane w zachłanną buzię, trawy, w których się turlał pod okiem matki, jej warkocze. Jeszcze refleksy, błyski światła, jabłoń brzezienna owocem. To on. Siostra słuchała wspomnień ze zdziwieniem i pytała uporczywie:

– Pamiętasz? Naprawdę widzisz?

Dość tego. Posłuszni postanowieniu ojca, spakowali bagaże i ruszyli w podróż. Dla niego powrót do gniazda, a dla nich jedynie spełnienie woli rodzica. Pozostawili swoje sprawy, rozwrzeszczane dzieciaki, zadziwionych nagłym wyjazdem małżonków i ruszyli tam, gdzie korzenie. Tłumaczył, że to ważne. Wątpliwości, co do znaczenia wyprawy omówili tylko między sobą. Nauczyli się nie narażać na gniew ojca i trzymać język za zębami, bo rozdrażniony potrafił nie przebierać w słowach. Po co bunt, skoro i tak jego wola z gatunku najświętszych, chociaż z lekka zalatująca patriarchalnym despotyzmem.

Droga długa, nużąca. Czas włókł się niemilosiernie, a cel odległy, i mimo że rzeczywisty – rozmyty jak ludzka pamięć.

W pociągu gorąco i duszno. W końcu nastąpił upragniony moment opuszczenia wagonu. Tłum. Ludzie pchali się do wyjścia, pokrzykiwali na siebie. Zamieszanie, hałas, płacz dziecka.

Ojciec siedział bez ruchu ze zrezygnowaną miną. Nie rozumieli jego zachowania. Ignorował pytania o powód niechęci do opuszczenia wagonu, aż w końcu wybuchnął z furją:

– But mi ukradli! Najnormalniej ukradli!

– Na pewno się zawieruszył. Poszukam tato – powiedział syn.

– Szukaj, jak chcesz, ale guzik znajdziesz. Tak jak ja w sowieckim lazarecie swoje oficerki i portki znalazłem! Zabrali jak własne i teraz tak samo...



– Tato... Opamiętaj się – Krzysia próbowała zapanować nad gniewem rodziciela. – Komu potrzebny jeden but? Zastanów się proszę. Mnie gdzieś parasolka przepadła.

– Im się wszystko przydaje. Nawet jeden but – odparł twardo Ludwik.

– Wszystko jedno czy zawieruszył się, czy zabrali. Trzeba wyjść z pociągu, bo wiecznie tu nie będzie stał – podjęła próbę rozwiązania absurdałnej sceny.

Wysiadł. Zły, roztrzęsiony i naburmuszony jak dziecko. Syna bawiła ta sytuacja i pozwolił sobie na uwagę:

– Jeden but też można ukraść. Może to był jednonogi złodziej?

Zamilkł natychmiast, widząc, że ojcu zaczynają wyzierać z oczu błyskawice. Wiedział dobrze, że mimo swoich czterdziestu lat, nadal może oberwać po łbie – w sensie dosłownym.

\*

Opadł nieszczęśliwy na peronową ławkę, a nogę w skarpetce wsunął pod nią – najgłębiej jak zdołał. W istocie przedstawiał żaloszny widok i ze zrozumieniem Krzysia przyjęła jego tłumaczenia i uzasadnioną prośbę:

– Sama widzisz córeczko. Obyczajnie dzikie na tej ziemi. But ukradli, parasolkę. Kupcie dzieci jakieś buty, bo zaraz mnie szlag trafi. Baczcie, żeby jako tako pasowały, bo kuśtykać nie mam zamiaru.

Zostawili desperata na dworcu i pognali po obuwiu. W istne zadziwienie wprawili ekspedientkę w sklepie. Nie pojmowała, że para mówiąca po polsku trzewiki kupuje, zamiast nawiedzić jubilera i wywieźć do Polski złote pierścionki, kolczyki, łańcuszki.

Zapłacili i pobiegli z powrotem na dworzec. Przymiarka zadowolona tatkę i już można było ruszyć w poszukiwaniu zasłużonego noclegu.

Syn przystanął na moment i rozejrzał się po stacji w Rokitnie. Jak we mgłę cienie, tak w oczach pojawiły się rozedrgane kadry: węzełki, tłum ludzi, matka z kubkiem wody nad twarzą brata. Jego policzki płonące wykwitami ospy, zlepione włosy nad czołem malca, Krzysia śpiąca z brudną lalką, którą przytulała jak relikwię. Czerwony płaszczyk z rozdartą kieszonką i butki zapinane wysoko nad kostką. To były jego czy jej nogi?

Potrząsnął głową i ruszył za siostrą. Uśmiechnięta szła obok ojca i coś z zapalem opowiadała. Jej nie mogło nic się przypomnieć. Na szczęście była wtedy za mała na zapamiętywanie.

– I bardzo dobrze – pomyślał.

\*

Jak opowiedzieć o Ludwiku, który z dwojgiem dzieci szukał zrębów domu, gdzie przyszły na świat? Jak o braku grusz i jabłoni sadzonych tuż po ślubie z Rozalką? O jego milczeniu i zaciętych w białą kreskę ustach, nogach w niewygodnych butach – przemierzających miejsce szumiące kolchoźnianą pszenicą? Właśnie – pszenica. Kłosa dojrzewały i nabierały złotego połysku. Roztarł w dłoniach i mruknął:

– Ziemia. Zawsze była dobra. Rodzi jak powinna. Wie, co do niej należy.

\*

Tysiąc pytań Rozalii i twarda niemota Ludwika. Zaciął się po powrocie z Wołynia i zbywał ją zawzięcie. Ze złości nie ugotowała obiadu – nie zauważył. Nie oglądał *Dziennika*, nie wyzywał polityków. Odpuścił rytuał wieczornego kurzenia sportów na ławeczce pod ścianą domu. Zaczęła się martwić i zastanawiać, co się z nim dzieje. Postanowiła nawet wzywać na odsiecz córkę, ale po tygodniowej zgryzocie wreszcie przemówił:

– Ty się nie trap. Nasze Tatyne jest i ma się dobrze. Ziemia rodzi, bo tak jej trzeba. Dla nas już tam nic. Nie ma czego szukać. No ... Nie ma i dość...

– A dom? A sad?

– Tu masz dom i sad, i tego trzeba pilnować.

Po dłuższej chwili ciszy zapytał z werwą w głosie:

– Uszyłaś flagę watykańską?

Po zapewnieniu, że tak – z zadowoleniem pokiwał głową i poszedł na dwór poćmić sporta. To uspokoiło kobietę mimo zapowiedzi kolejnej batalii, którą będzie musiała stoczyć o tę nieszczęsną watykańską.

\*

Pieczołowicie schowała na dnie szafy woreczek. Wręczył go dopiero dzisiaj. Powąchała chciwie – ziemia wołyńska zapachniała młodo-

ścią. Wieczorem zmówi różaniec za tych, co nie dostali od Pana domu i drzew – gdziekolwiek by nie owocowały.

#### POMYLENIE PATRONÓW I NOCNY KRZYK DZWONU

Czas mijal leniwie. Tkwili obok siebie siłą przetrwania, przyzwyczajenia – zatopieni w jedność i osobność jednocześnie. Możliwe? Tak – jak śnieg ze słońcem jednego dnia albo radość i smutek w bliźniaczej godzinie. To kwestia dojrzewania księżyców w perspektywie wspólnych talerzy, przemilczeń, gdy chce się chłasnąć ostrzejszym słowem i siłą zatrzymania języka, gdy temu drugiemu wbijasz niepotrzebną zadrgę.

Sztukę bycia obok, a jednak razem – opanowali do perfekcji i spokój przerywały jedynie gwałtowne najazdy Bogusiów. Tego, że istnieli w ich trwaniu – niemożliwością pominąć. Pojawiali się zazwyczaj w najmniej odpowiedniej chwili. Zwykle środkiem nocy albo tuż o świtaniu spadali na ciszę Rozalki i Ludwika jak nawałnica. Tej nocy było tak samo. Walenie w drzwi, a za nimi płacz i taka rozpacz, że tylko kamień pozostałby głuchym. Wnuczka, która zjechała z wizytą, wyskoczyła z łóżka jak poparzona, ale Rozalka uspokoili ją krótkimi zdaniem:

– To nic maleńka. To Bogusie. Idź spać.

Jak żaba znajduje ożywcza dla niej kałużę, tak ta para zawsze w poczuciu rzekomej krzywdy potrafiła po ciemku odnaleźć drogę do domu Ludwika. Fakt, że miał do ich wyjątkową słabość i przyjmował wszelkie fantasmagorie obojga szaleńców ze szczególnym zrozumieniem. Karmili go opowieściami o złych ludziach, którzy chcieli ich spalić, okraść i Bóg wie jeszcze co. Wysłuchiwał osobliwych historii, pozwalał wejść do domu z wszelkim dorobkiem. Wtedy w czyściutkiej kuchni Rozalii lądował cały dobytek Bogusiów: tobołki ubrań, klatki z kurami, z wychudzonymi królikami, i pies wystraszony jak owa para odmieńców. Kiedyś przynosili niemowlę, które zdarzyło się i potem zmarło zadławione bułką ze śmietaną. Na próżno było tłumaczyć, że paromiesięczny dzieciak nie mógł przeżyć takiego karmienia. Bogusiowa chciała dobrze, ale wyschnięte piersi nie sprostały obowiązkowi macierzyństwa, więc stąd bułka i śmietana. Dziecko odeszło, a Ludwik nie potrafił przełożyć ani Bogusiom, ani Rozalce, że zawinił kto inny – nie ci biedacy, którzy chcieli jak najlepiej, a wyszło całkiem inaczej.

W całej okolicy nie było nikogo, kto by chociaż raz nie zdziwił się widząc Bogusiów. Gdziekolwiek by nie wyruszali, zawsze zabierali na

skrzypiący wózek wszystko, co stanowiło dla nich wartość. Obładowani węzełkami, torbami, klatkami ze zwierzętami zgodnie ciągnęli tара-dajkę. Tak zjawiali się pod kościołem w niedzielny poranek, po chleb w sklepiku, u lekarza, gdy ktoś zaniemogło i z wizytami u Ludwika – w chwilach wyimaginowanego zagrożenia.

Jakże się zdziwił ukochany przez nich sołtys, gdy wyjaśnili, co tym razem przygnało ich w środku nocy. Nikt im nie dokuczył, nie czał z ogniem, nie miał zamiaru odebrać nędznego majątku, pobić czy ze-lżyć. Do takich bająn przywykł i umiał wytłumaczyć, uspokoić, i ran-kiem wyekspediować w drogę powrotną. Jednak na to, co usłyszał, nie był przygotowany.

Otóż Boguś uświadomił go, że sprawa jest poważna, bo jego ślub-nej ukazał się sam święty Idzi i ostrzegł, że osoba, która jest dla nich wspomozieniem, i ostatnią deską ratunku, wkrótce zachoruje. Przyszli, więc sprawdzić czy Ludwik, aby nie chory, czy ma się dobrze.

Tego było stanowczo za dużo. Patrzył na nich zdrętwiały, a potem ryknął na całą kuchnię:

– To ja przez świętego Idziego w nieludzkiej godzinie po kuchni w kalesonach latam? Co Bogusiowa jadła na kolację, że sam Idzi do niej przyszedł? I co z chorobą wykoncypowała?

Rozalka stała w nocnej koszuli na progu i już sama nie wiedziała, co ją bardziej śmieszy: Ludwik rozwścieczony wizją Bogusiowej czy wnuczka, która patrzyła na to widowisko z otwartą buzią. Jakoś to jej jutro wytłumaczy, a póki co – czas pogonić do łóżka, bo stanie boso na zimnej podłodze z pewnością skończy się katarem.

Zamknęła drzwi, a mąż dalej robił parze niebożąt wykład na temat niemożliwości pojawiania się jednego z Czternastu Świętych Wspomozycieli i bezsensu nocnej wyprawy. Wykrzykiwał też coś o tym, że nie należy się objadać przed snem, bo potem zamiast spać spokojnie, rozmawia się z tym, czego nie ma.

Leżała w łóżku. Z sąsiedniego pokoju dochodził równy oddech śpiącej Elżuni, a z oddali przytłumiony głos męża, który nie odpusz-czał Bogusiom pouczeń – zamiast pójść spać i biedakom darować. Obróciła się na drugi bok, naciągnęła róg pierzyny na ucho i rzuciła w mrok:

– Narozrabiał święty Idzi. Nabroił Bogusiowej w lepetynie.

Zamknęła oczy, wsunęła łokieć pod głowę i prawie zapadła w sen, gdy usłyszała dźwięk kościelnego dzwonu. Bił głośno, nerwowo, z trwogą – krzyczał w rozpacz, targany nerwowymi szarpnięciami. Zerwała się na równe nogi. Przerażony kot czmychnął pod łóżko. Z głębi domu dochodził hałas, spadały sprzęty. Za oknami nawoływania, pomieszane głosy, szczekanie psów.

Wybiegła na podwórze. Ulicą w stronę kościoła biegł Ludwiczek, a za nim Bogusie.

Pierwszy raz pozostawili swoje skarby bez dozoru i gnali prosto w stronę luny, w dźwięk dzwonu, który szalał na trwogę, i wzywał na ratunek. Na obejściach pojawiało się coraz więcej ludzi i wszyscy obierali jeden kierunek – kościół.

Noc rozdarł jęk syreny straży pożarnej. Złapała chustkę na głowę, sweter i ruszyła tam, gdzie wszyscy. Wnuczka krzyczała, żebym ubrała buty. Co tam buty! Najmniej ważne we wrogiej chwili.

Dzwon błagał nadal, a wokół kościoła uwijali się ludzie. Straż lała błogosławioną wodę, baby głośno odmawiały pacierze, a wśród zabieganych mężczyzn dojrzała Ludwiczka, który sprawnie, jak na swój wiek, kierował akcją ratunkową. Bogusiowa siedziała na mokrej trawie i głośno płakała, a jej ślubny miotał jak opętany – z pustym wiadrem. Rwetes, okrzyki, zamieszanie, kłęby dymu wydobywające się z zakrystii i głośne komendy sołtysa. Stała wystraszona i oszołomiona. Obok niej pojawiła się wnuczka. Szarpnęła za rękaw i powiedziała:

– Babciu. Dziadek tylko w kalesonach. O rany! Ale się wścieknie, jak zauważy!

– I co z tego, że w kalesonach? To nie procesja, a pożar. Kto tam patrzy, czego nie ubrał? Portki teraz nie najważniejsze – odparła zdecydowanie.

\*

Może i nie najważniejsze, ale nie przeszły bez echa. Kiedy znużeni, szczęśliwi z ocalenia kościoła zalegli w trawie, jeden z młodych strażaków wybuchnął śmiechem i wskazując palcem na Ludwika powiedział:

– Sołtysie! A gdzieście gacie zostawili?

Spojrzał na siebie i odrzekł rozbawiony:

– W samych napoleonach ja w przybytku bożym pierwszy raz, ale nigdy nie musiał w takim pośpiechu tu lecieć.

\*

Świt zaczynał bielić szczyty dachów i drzew, gdy wracali. On brudny, zmęczony, z oczami rozradowanymi jak słońce na wiosnę. Ona bosa, dumna z męża – trzymała za rękę wnuczkę, która dzielnie ścisnęła pod pachą babcine buty. Za nimi dreptali Bogusiowie i coś zawzięcie szeptała między sobą. Wyglądało to na początek małżeńskiej sprzeczki. W domu ucichli jednak i zaczęli pieczołowicie ładować na wózek swój dobytek. Rozalka, jak zwykle, wyposażyła ich na powrót w spory zapas jedzenia – powinno wystarczyć do czasu kolejnego pojawienia się obojga, bo przecież było nieuchronne.

Na odchodne usłyszeli od sołtysa:

– A Bogusiowa jak zawsze wszystko poplątała. Pomyliła Idziego z Florianem i choroby zaczęła wymyślać. Niech jej będzie... Najważniejsze, żem nie spał i mógł szybko tam dotrzeć. Na drugi raz niech Bogusiowa słucha, kto przyszedł i co mówi. No ... Z Bogiem...

\*

Nikt nie zauważył, że kobieta nie odezwała się ani jednym słowem. Był moment, gdy chciała otworzyć usta i wyjaśnić, że nic nie mogła poplątać, bo zdania nie rzekła. Znowu pozwoliła, by Boguś mówił za nią i pokręcił wszystko. Przyzwyczajona do drugiego planu w stadle odpuściła tłumaczenia, wychodząc z założenia, że i tak nie przekona mądrzejszych – szybkich w słowach i osądach. Po co prostować, skoro swoje chcą mieć na wierzchu?

\*

Przy śniadaniu Ludwik siedział cichy i zadumany. Palcami stukał po stole i coś pilnie rozważał. W końcu zwrócił się do wnuczki:

– A którego dzisiaj mamy Elżuniu?

– Dwudziestego drugiego lipca dziadku – pisnęła zadowolona, że przerwał milczenie, ale w tej samej chwili skuliła się pod ostrym spojrzeniem Rozalii. Przypomniało się dziewczyninie, że babcia prorokowała na ten dzień kolejne starcie dziadka z ormowcami. Właściwie miała szczerą ochotę zobaczyć, jak dziadek znowu rozrabia, ale nigdy by się do tego głośno nie przyznała.

– Dać ci tę flagę watykańską? – spytała zrezygnowanym głosem Rozalia.

– Co? Jaką flagę? Eeeee... Nie to mi w głowie kobieto.

Podjejrliwie i ostrożnie zagaiła:

– Na pewno nie? Coś wydumał?

– Ano... Trzeba Rozalko pójść do kościoła, straty oszacować, do tartaku drewno obstalować i do roboty się brać. Do roboty brać i tyle – zatarł ręce uśmiechając się do żony. Potem pociągnął Elżbietkę za warkocz, i wyszedł.

Kroczył przed siebie wyprostowany, dumny jak dębczak. Gwizdnął krótko na psa i zawołał:

– Flaga się nie zmarnuje. Będzie jeszcze tyle okazji, że ho! Teraz mam co innego w planie. A wiesz Rozalka, że nasza zakrystia bez gwoździ? A kto w okolicy potrafi zrębowo bale naciąć? No kto? – puścił jej oko, jakby czas się cofnął.

\*

Poszedł poświstując wesoło, a wokół niego tańczył pies i poszcze kiwał do wtóru gospodarzowi.

– Znowu się nadał, ale to dobrze. Tym razem dobrze – pomyślała i udała się do zwykłych zajęć.

PAWEŁ PODLIPNIAK  
godło: „Marlina\_Mansonowa”



I nagroda w kategorii poezji

*PAWEŁ PODLIPNIAK – urodzony w 1968 r., z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz, laureat ponad 30 konkursów poetyckich m.in. XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Stanisława Grochowiaka. Autor tomiku poetyckiego „Aubade Triste”. Publikuje wiersze w następujących czasopiśmie: „Arterie”, „Kozirynek”, „Miesięcznik Prowincjonalny”, „Notatnik Satyryczny”, „Topos”.*



SUK

*Piotrowi Gajdzie*

Nie wiem nic o podróżach owoców. Mają własne miejsca,  
w których trzyma je klimat i niechęć do pór roku.  
Linia zmiany daty jest kłamrą, zimnym okiem  
spinającym wszystkie jutra, które rwiemy na oślepe  
niby powierzchnię cichych, niezwindzonych mórz.

Nie wiem nic o podróżach kamieni. Tam, gdzie je hodują,  
mieszkają mordercy płaczący jak dzieci. Zamiast  
porannej kawy przynoszą w ustach oset, żądają spłaty  
rachunków. Targujemy się o każdego pensa,  
miejsce wciśnięte między „jest” i „jeśli”.

Nie wiem nic o podróżach krwi. Jestem zwykłą mendą,  
uparcie ciągnę w górę żyły, prosto w ciemne serce.  
Za mną pełzną następni – ślimaki wtulone w resztki butelek.  
Nasze szklane głowy ściska strach przed księżycem,  
a wtedy wyjemy z żalu – kiedyś byliśmy przejrzysti.

Nie wiem nic.

## NIEŚMIERTELNIK Z MINOTAUREM

O pułkowniku, mój pułkowniku! Nasza wędrówka nie ma końca.  
Przeoczyliśmy pożegnanie, a okrutny kwiecień  
zasypał drogi kurzem. Dzieci, czerwone do krwi,  
nakreślą patykami imiona suchych traw.

O pułkowniku, mój pułkowniku! Stare kobiety śpią podczas  
nabożeństw,  
gubiąc modlitwy za ogarniętych przez pożar.  
Zamieszkaliśmy w domach z dymu, kursujemy  
behradnie pomiędzy przecuciem a dnem morskim.

O pułkowniku, mój pułkowniku! Nasi bogowie noszą poplamione szaty,  
mieszają w misach napalm. W miedzianych ustach  
gotują dla nas ostateczne rozwiązania. Wypluli – *letnich*,  
wciągnęli gorących, reszta przepadnie w milczeniu.

## HUEY STORY

gdzie dom liter, dokąd prowadzą  
schody przestępne i niezalutowane sprawy?  
czy obudzimy się ostudzeni potem jak w nocy,  
kiedy nadleciał wszechmogący  
i zaszczerpił nas przeciw grozie, obcinając ręce?

uliczny gang jest wciąż zaginiony  
w bezsensownej akcji. przeszukujemy miejsca  
pełne spokoju, zdarte okolice planet  
przesiąknięte lizolem i palmityną.  
uczymy się chemii z wypalonych ciał.

matka gęś idzie z nami, a w koszyku niesie  
garść złotych zębów i motek z ludzkiego  
włosa. nazbyt wiele, bo wypełnić bajki.  
druć jest kolczasty, łatwo kaleczymy palce.  
szklane trumny na szczytach śnieżą. pilot zmienia kanał.

## NIEPAMIĘĆ

Jeśli się rozsypiesz, nazwij to lodem.  
Zima jest tkanką, a po drugiej stronie  
czeka Alicja, córka diabła. W jej snach  
jesteśmy najprawdziwiej żywi.

Nazwij to snem i narysuj *mnóstwo*,  
zanim nas nie przerwie śmierć  
– nieistotny odnośnik do wszystkiego  
co ważne (postaw krzyżyk, cyfrę, gwiazdkę).

Lepiej nazwij to czasem, a pod powiekami  
zatrzymaj lepki łubin, dojrzewanie,  
łatwopalny fragment wspólnej drogi,  
bo nie trafimy po raz drugi w to samo miejsce.

Czasem nazwij mnie. Może moje imię  
z łaskawych krain o łagodnych zimach  
ułoży się do snu. Diabeł tkwi w szczegółach.  
Alicja zna je do głębi. Dobrze o nich milczy.

## RUCHY BROWNA

Dali nam złe wytyczne i szerniałe mapy,  
które żar powykręcał niby serpentyny  
(śliskie trasy do szusu w niebyswałą pustkę  
pod dnem domu, gdzie w zimie utkwiała lawina).

Na odwrocie map skrzepły didaskalia, notki  
nic nie mówiące ślepcom. Między szeregami  
zer i jedynek była pełnia niedomówień.  
Czekaliśmy na gloszę, głos z drugiego brzegu.

Nie doszedł, jak wcześniejsze, nieotwarte listy.  
Co z tego, że nadzieja obdzielała równo  
swoich wiernych głupotą? Łopatki swędziały,  
jakby miało wyrosnąć tam coś ulotnego.

Przecież po drugiej stronie odbiornika, lustra,  
innej formy próżności, ktoś powinien czekać  
na nasz powrót, a potem unieważnić stare  
nazwy, w zamian nadając nowe, prosto z książki

kodów: *foxtrot-uniform-charlie-kilo*.

RAFAŁ BARON

godło: „Drogowcy zaskoczyli zimę”



II nagroda w kategorii poezji

*RAFAŁ BARON – tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny, psychonauta, poeta. Laureat konkursów poetyckich, m.in. im. Ratonia, Wojaczka, Baczyńskiego, Czerwonej Róży; dwukrotnie nominowany do nagrody głównej OKP im. Jacka Bierezina w 2009 i 2010 r. Drukowany m.in. w „Autografie”, „Obrzeżach”, „Arkadii”, „Frazie” i w antologiach pokonkursowych. Niegdyś bardzo aktywny na nieszufladzie.pl i poezji-polskiej.pl. Nie ma go na Facebooku ani na Naszej Klasie. Mieszka i pracuje w Trójmieście.*

## O WNĘTRZACH I WNĘTRZNOŚCIACH

Niewiele wiem  
o miejscu, do którego idę.  
Tyle pojąłem, ile zostało precedzone

przez wnętrzości, których nie znamy.  
Przez ściany główne i działowe. Ruchome grodzie.  
Nieruchome bramy zamykane na skobel. Na klucz.  
Na pilota.

Przez wnętrza. Ich opisy. Imiona były. I te,  
które będą. Rachunki. Rachuby. Wszystko,  
co nasze, przywarte, przyrośnięte.  
Warstwami. Głęboko. Coraz  
głębiej.

Przez łąy, czarnoziem i kości. Wody  
gruntowe. Czyste. I lód. Lodowaty dotyk,  
wyrwę w pamięci.

## DOTKNAĆ CIĘ

przed pierwszym kadrem. Zanim  
wpuszczą cię jak drobinę eteru  
do przegubu głównej ulicy. W szpaler  
nowych biurowców, między odgłosy  
nieznanych filmów na przyciemnianych szybach,  
na kwaśny deszcz.

Dotknąć cię przed pierwszym obrotem  
pamięci, zanim zalęgnie się podejrzenie  
że nas nie ma i nigdy nie było  
na wszystkich siedzeniach autobusów, pociągów,  
w dusznych mieszkaniach, nocnych klubach,  
przed witrynami sklepów. Dotknąć cię

zanim akcja przeniesie się gdzie indziej,  
poza zasięg naszych odbić, a otwarte morze  
zrośnie się wzdłuż linii krzepnącej jak rtęć.

Zanim staniesz się nieruchomy  
jak zimne miasto pełne obcej krwi.



ŻYCIE TO CIĄG OBRAZÓW  
NA PODOBIENSTWO OBRAZÓW

Jest ich więcej i więcej  
jest nas – we wszystkich miejscach,

których dotykamy, w których grzęzną  
nasze stopy. W których grzęzną nasze głowy,

a oczy otwierają się na *remake* bez końca.

## KONIEC LATA

Nie bój się, to tylko skóra zmienia kolor,  
a światło nie opuszcza nas, jest obok  
jak otępiały motyl nad wstążką jezdni  
rozgniataną przez tiry.

Ciepło ma blask pęczniejących latarni,  
telewizorów na wystawach.

MAŁGORZATA STACHOWIAK-  
-SCHREYNER  
godło: „Julem”



III nagroda w kategorii poezji

*MAŁGORZATA STACHOWIAK-SCHREYNER – urodzona w 1975 r., do dziś mieszka w Sulechowie. Z wykształcenia ekonomistka, obecnie z zamiłowania instruktor teatru. Spełnia się jako mama dwóch małych dziewczynek. Nagradzana w konkursach literackich. Na koncie ma jeden tomik pt. „O czymś”, wyróżniony jako najlepszy debiut książkowy województwa lubuskiego w 2005 r. Publikacje w prasie literackiej, antologiach oraz w wydawnictwach pokonkursowych.*

## BEZ POINTY

Na tym podwórku  
czas się zatrzymał na piórach gołębi  
Stare kobiety oprawione w okna  
grzeją jaszczurki przemarzniętych dłoni  
w purpurowych zachodach późnego geranium

Przechodni wózek zblakły od pobożnych życzeń  
kołysze kolejnego lokatora w przyszłość  
Długonogie dziewczyny łuszczą się z kokardek  
w bardzo krótkie spódniczki i kwitną  
przez chwilę też bardzo krótką  
bo mało tu światła  
A dom spogląda ciężko odbijając cienie  
zmęczonych pokojówek i kasjerek z Netto

Na tym podwórku nocą  
w klatkach ciemnych łóżek kołysze się zmęczenie  
ufne w śmierć i piekło  
przed którym ma chronić fikus w przedpokoju  
i ta święta Madonna (z dzieckiem Częstochowska)  
Pająk w kącie minuty supła w szpulki cienia  
a przydymiony przedświt niechętnie otwiera  
historię wydłubaną w bezsennej godzinie  
spod wskazówek zegara na przekór nikomu

## ZIMA CZAROWNICY

Krajobraz przerysowany komercyjną zimą  
– dzieło amatorszczyka z pleneru w Karpaczu  
rozcinał swoim ciepłem jak nóż biały lukier  
na pierwszokomunijnym torcie cioci Heli  
a on tuż za mną zasklepia się miękko  
zamykając w szkatule zmrożonego świata  
jak wewnątrz szklanej góry lecz pozwala odkryć  
na brzegu jezdni oprószoną srebrem  
misterną arabeskę – falę niby klocek wyjętą z wnętrza morza  
Zachwycająco piękny kawał starej szmaty  
którą ktoś wytarł kołpak uwalany błotem  
a warto właśnie teraz być tu  
tylko dla niej

## GWIAZDKA CZAROWNICY

Jestem starą czarownicą  
skóra już tak dawno nie pachnie mężczyzną  
W klepsydrze czas brania przesypany w dawania od wielu księżyców

Moja wnuczka w płomieniach złotych loków  
przebiega pokoje jak iskra smolne szczapki na ruszcie kominka  
Zatrzymam ją, położę małe dłonie na mosiężnej skórze  
moździerza wygładzonego palcami prababek

Pokażę aksamitne przecinki goździków, rudy puch cynamonu,  
czarne perły pieprzu, szary żwirek kolendry i jak je cierpliwie  
zmienić w zapach dzieciństwa które tak jak życie wraca  
na czubku języka korzenną goryczą i miodem świątecznego ciasta na  
pierniki

a mała profanka tradycje w słodkich kulach turla po podłodze  
lepi smoki i żółwie na kuchennych kaflach  
zaklinając czas przyszły w dzwonki swego śmiechu

## SŁUCHACZKI

Śpiewają w chórach których nikt nie słucha  
kleją kwiaty z papieru chodzą na wykłady  
o nowotworach jąder dawno zmarłych mężów

dyskutują o książkach pachnących romansem  
jak karminowe szminki wstydliwie ukryte  
przed oczami prawnuka gdzieś na dnie szuflady

ćwiczą przed wysiłkami których nie podejmą  
i planują podróże nie jadąc donikąd  
z obawy że zmarnieją złudzenia tak czule  
doglądane jak zdjęcia w rodzinnym albumie

ciche jestem zwijają w kłębki aż do krzyku  
który świat z piskiem opon mija bez spojrzenia  
na opuszczone dłonie i ciężkie powieki  
starych kobiet tych drobnych zmarszczek na powietrzu  
które wiatr wyrównuje jakby już nie były

## NON STOP KOLOR

Jest

Od tamtego zamierchłego kiedyś  
gdy włożyłam ją ceremonialnie jak kapłanka sztuki  
i swojej własnej wielkiej odmienności od tysięcy  
innych głupich nastolatek co nosiły się czarno z tych powodów  
I została

Choć gdy po raz kolejny rzuciła mnie praca  
poczułam się raczej zrobiona na szaro a to nawet lepiej  
kleiło się do garów i ręcznego prania  
No i sztuki rozumianej jak tylko potrafi  
rozumieć ją magister ekonomii w dołku  
Ot trzeba wiersz napisać córeczkom na buty  
Poza tym trzyma się zupełnie nieźle  
tylko gdy emerytka z przeciwka znów pyta kto umarł  
przestają psia mać wierzyć nawet że wyszczupła



IZABELA WAGEMAN  
godło: „klamka zapadła”

wyróżnienie drukiem w kategorii  
poezji



*IZABELA WAGEMAN – urodzona w 1976 r., mieszkanka Kędzierzyna-Koźła. Na co dzień uczy w szkole podstawowej, wychowuje dwóch synów. W międzyczasie pisuje tu i ówdzie, to i owo. Od kilku lat związana z Salonem Literackim. Od czasu do czasu współorganizuje akcje poetyckie. W tym roku będzie wydany jej debiutancki tomik wierszy.*

## LARWY

bywa że patrzę z wysokości obcasów. obciągam spódniczkę, dwuznacznie poprawiam włosy. śmieję się z kiepskich żartów i szybciej mrugam przy komplementach. moje biodra kołyszą się

kiedy idę lub tańczę. czasem oddaję pocałunek z zamkniętymi oczyma, a czasem ustami zamykam oczy. tylko wtedy, gdy słyszę „nie mogłem spać”, znikam za drzwiami i słucham chrobotu robaków. wiedzą, jak przetrwać.

MILENA RYTELEWSKA  
godło: „Filip”

I nagroda w kategorii Miłosz 2011



*MILENA RYTELEWSKA – urodzona w 1979 r. w Katowicach. Obecnie studiuje filmoznawstwo na Uniwersytecie Łódzkim. Publikowała wiersze m.in. na łamach „Opcji”, „Toposu”, „Odry” i „Fragile”. Jest laureatką Czerwonej Róży w 2006 r. i kilku innych konkursów.*

## ELEGIA DLA C.

*[...] wiesz mój chce chronić od rozpaczy*

Cz. Miłosz

Poczekaj, jeszcze  
chwila i razem zanurzymy się  
w trawie. Po stopy, po kostki, po  
kolana, po usta. Lecz najpierw pójde  
tą ścieżką sam. Otworzę ją dla ciebie,  
oświetlę, wykarczuję. Poszukam  
Boga: *jeżeli go tam nie ma, to znaczy  
że my jesteśmy Bogami*. Poczekaj,  
jeszcze tylko rozpalę wschody, pogaszę  
zachody, *zasadzę przezroczyście drzewo  
pełne ptaków przelotnych*. Katedrę  
dla ciebie wzniosę, z wersów –  
weneckich luster, sekretnych  
przejsć z nieba na  
Ziemię.

ELEGIA DLA AK. INNE MIEJSCA

*Słońce wschodzi  
Jeszcze raz  
Daj nam dzień bez winy [...]*

Cz. Miłosz

tej nocy Bóg zamknął oczy i na chwilę  
wypuścił nas z dłoni. dotknąłem twoich

bioder, ostrych brzegów kartki. bładziliśmy  
do świtu, na granicy cienia. *nieprzetłumaczalni*

*na słowa, zamilkliśmy w Teraz*, a potem  
zrzuciliśmy sierść i zagryźliśmy się

jak ludzie

## PARS PRO TOTO

*[...] Objawienia dotyku od początku, nie przyjęta  
żadna wiedza i żadna pamięć.*

*Panie Boże, lubiłem dżem truskawkowy [...].*

Cz. Miłosz

Wezmę z ciebie tylko  
kawalek. Jeden kęs, jedną  
rzęsę, jeden pocałunek. Do ust cię  
wezmę, pod językiem schowam i jak  
konfiturę truskawkową będę cię  
smakował. Grzbietem  
dłoni cię dotknę, szeptem  
cię rozbiore: jeśli niewiele wezmę,  
bezboleśnie zapomnę. Chcę  
z ciebie tylko cząstkę, pestkę,  
wers. Mało?  
Tak. Lecz właśnie tyle  
trzeba na Stworzenie Świata.

PIOSENKA O...

[...] *Ziemia odpływa od brzegu na którym stoję.*

Cz. Miłosz

Bóg wie, co robi. I co zabiera.  
Zabiera mi siły.

Emigruję z ciała. Kurczę się do wersu.  
Chodzę na czworakach, jak kiedyś chodziłem.

Już nie mam do kogo mówić. Już nie mam  
do kogo milczeć, szeptać, pytać, oddychać.

Już wykrzyczałem testament. Już się nakochałem,  
najadłem, nagrzeszyłem, nawyspowiadałem.

Już nie mam siły grzeszyć. Już rozmienilem ciało.  
Mam czyste sumienie i wielkiego ducha.

Już się nawybaczałem. Już mi nie wybaczone.  
Już mogę iść do Nieba. Już prawie jestem Duchem.

Już się nie pamiętam. Już się nie poznaję.  
Już nie mam siły niewierzyć w Boga

i walczyć o niewiarę: *Panie doktorze. Boli mnie.*

*Nie, nie tu. Sam już nie wiem...*

JADWIGA GRABARZ  
godło: „Gorzkie Pagórki”



II nagroda w kategorii Miłosz 2011

*JADWIGA GRABARZ – urodzona w 1986 r., autorka liryki obyczajowej. Ukończyła studia licencjackie z filologii angielskiej, obecnie studiuje amerykanistykę. Publikuje w: „Dzienniku Polskim”, krakowskim miesięczniku „Vis à Vis”, „Rzeczpospolitej Kulturalnej”, „Portrecie”, „L’esperence”, „Lamelli”, „Tygodniku Podbalańskim”. Autorka arkusza „Gaszenie do snu”. Laureatka kilkunastu konkursów poetyckich. Redaktor kwartalnika „sZAFa”. Należy do Koła Młodych przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w Krakowie.*



KACPER, MELCHIOR, BALTAZAR

*Innego końca świata nie będzie...*

Cz. Miłosz

gdyby żyła przed wiekiem, miałyby  
już trójkę synów. właśnie zamyka powieki  
i woła za jednym – *Jędrusiu* - - -

przychodzą do niej za znakiem, głodni wierszy,  
ich karawany pełne są przepychu, kadzideł i mirry.  
idą tu w złocie Wisły, lśniącej, zimnej, gęstej.  
w małej cząsteczce wody powiłały gwiazdy –  
gdyby tylko żyła w nas przed wiekiem,  
gdyby donosiła wszystkie dzieci.

rzeka staje się dziwna. pod osłoną nocy  
czarny lepik powierzchni przyciąga błyszczenie.  
idą trzej królewicze, chcą zobaczyć cuda –  
wołają na Jędrusia, aby się odkleił od tej wody,  
nie zaglądał w środek.

a nuż – gdy mrugnie rzece i będzie układał jej powierzchnię  
w nowy szlaczek, porwą go topielce  
czarniejsze od nocy.

nie pozna już matki.

## CAŁE SZCZĘŚCIE

*kamienie są po to, żeby nogi nam raniły...*

Cz. Miłosz

on niekoniecznie tak to widzi.  
coś o zmianie klimatu znaczy dla nas  
to samo. całe szczęście –  
do spraw globalnych posiadamy wspólny dystans.

wszystko być może dla ludzi:  
słońce wstaje, zachodzi – tworzy w tej części galaktyki  
małą kieszeń, w której lubimy mieszkać.  
od czasu do czasu, kieszeń staje się kieszonką  
i mimo że do spraw globalnych posiadamy wspólny  
dystans, czuję cię zbyt wyraźnie.

wszystkie stare płyty, których lubisz słuchać,  
przypominają ziemię – całkiem płaską.  
zbyt płaską, by przeżyć bez całopalenia  
i poświęceń.

chciałabym iść z tobą w miejsce  
bardziej wypukłe. gdybyśmy żyli sto lat temu  
mógłby to być

naparstek ziemi.

## UŚMIERZANIE

*Nadzieja bywa, jeżeli ktoś wierzy...*

Cz. Miłosz

napisanie baśni jest zbyt proste:  
wystarczy wziąć takich dwoje  
mogą nawet być podobni do nas  
i uśmiercić

śmierć się dobrze sprzedaje  
zwłaszcza w telewizji  
dobrze jest być tuż krok od niej  
zasypanym w Chile górnikiem  
można wtedy się modlić  
można mieć nadzieję

szczęście nie jest tak spektakularne  
dlatego muszę mieć ich dwoje  
i uśmiercić  
zadać cios piórem możliwie szybko  
nie lubię bólu

a nuż gdy mrugną raz ostatni  
pod powiekami  
zobaczą skrę nadziei

jak łatwo jest uwierzyć gdy koniec  
jest bliski  
może też dlatego coś mnie ciągnie  
ku obcemu

## MĘDRCY

*Nikt nie wierzy, że staje się już...*

Cz. Miłosz

gdyby żyła przed wiekiem, ten wiersz  
nie byłby wierszem, lecz rosołem.  
schwycona w podwórzu kura, trzepoce skrzydłami  
chcąc się wyrwać. czy czuje, że nadchodzi koniec?  
to już kwestia domysłów, albo wiary.

miałaby dziś trójkę synów. właśnie zamyka powieki  
i widzi jak się garną, mali, maleńcy, pod skrzydła.  
przychodzą za znakiem, głodni życia,  
którego ich nie nauczy.

ich pióra pełne są przepychu, kadzidel i mirry,  
choć tak nie lubią zwiastowania. coś ich jednak ciągnie  
ku obcemu. w małej części podwórka można stać się drugą  
częścią kogoś – gdyby tylko żyła w nas przed wiekiem,  
gdyby donosiła wszystkie dzieci.

łyżka staje się dziwna, jak namagnesowana  
odsuwa się od taflి zupy. idą królewicze –  
abym się odkleiła od tej wody, nie patrzyła w środek  
złego. to już kwestia domysłów, albo wiary –  
bądź jednego i drugiego dla niektórych.

a nuż – rosół mi mrugnie i zacznie układać swe powierzchnie  
w nowy szlaczek, czarniejszy od nocy.

kiedyś będę musiała tam powrócić,  
ale to będzie *kiedyśbardzo*.

## WIERSZ Z KOŁYSKĄ

*Niebiańskie ziemie toczą się i świecą.*

Cz. Miłosz

ten dzień w niczym nie przypomina mi tamtego,  
pada deszcz, ja się spieszę, a on – niekoniecznie  
tak to widzi. bywa stały w uczuciach niczym przetak.

padają słowa naokoło świata:  
coś o zmianie klimatu i lodowcach,  
które jak czuję, powinny mi być szczególnie bliskie,  
ale nie są.

posiadłam dystans do gazet, w chwili, gdy przeliterowałam  
pierwszą bzdurę. ten dzień w niczym nie przypomina mi tamtego,  
który odszedł. szukam się i określam. miasto próbuje mnie pożreć –  
jest tym frontem, który biegł przez wioskę i odleciał.

wszystko być może dla ludzi: zatem kiosk i jesień  
i sklep z obuwiem, papieros. pada deszcz, ja się spieszę coraz  
bardziej  
czując metaliczny posmak czasu. tak się złożyło,  
chciałabym iść z tobą w miejsce, gdzie nikt nas więcej nie spotka –

małego jak ucho igielne lub stary naparstek z szuflady –  
srebrna kołyska, gdzie pozostaniemy

już oboje.

## WCHŁANIANIE

Saturn pożera swoje dzieci dokładnie je gryząc,  
otwiera szeroko usta, żeby zmieścić barki synów,  
biodra córek. Śmierć nie sprzeciwia się jego rękom.

Boję się wyrazu twarzy z dzieła Goi –  
tytan siłący się na kęsy mięsa, które genetycznie  
podobne jest do niego powinien wzbudzać odrazę.

Kim byłby dla swych dzieci, gdyby ich nie pożarł?  
Jak wyglądałby obraz bez tych oczu  
krzyczących, że nic nie jest sprawiedliwe?

Jestem córką Saturna. Krążenie po orbicie wciąż mnie zjada.  
Gdyby tak być kometą, Stokłosa –  
można byłoby spadać, aż do skutku.

25.09.2010

## PIERWSZA KSIĘGA DOMOWA

narodziło się nam. mamy kilka lat więcej –  
to pociąga za sobą kilka powodów do rozstania.  
wcześniej nie wiedzieliśmy –

ziemia stoi, jasne jak słońce ręce  
próbują nią kręcić. nic się tu nie dzieje.  
przydałby się patyk, albo mały kamień  
do zmaczenia wody.

w takim stanie nie można myśleć już  
o niczym. trzeba coś postanowić,  
zdecydować się na imiona,  
kolor tapet.

miałam kiedyś pocztówkę.  
na niej kobieta, jakie pokazywała telewizja  
w latach pięćdziesiątych,  
bawiła małe dziecko.

śniła swój sen o ameryce, w który pomagała jej  
uwierzyć szminka. czerwień sprawiła,  
że i ja chciałam być matką.

słyszysz? narodziło się nam  
i płacze.

przecież wspólnych parków  
nie wylewa się z kąpielą.

## INSPIRACJE. KSIĘGA DOMOWA DRUGA

księga sędziów podaje, że mieszka w dolinie sorek.  
ma piękne usta i warkocze – ponoć skradzione gwiazdom,  
dlatego pociąga ją wszystko, co się świeci.

patrzy na śpiące ciało. klatka piersiowa podnosi się i opada  
razem ze słabym światłem zagląającym przez okienko  
czasu. tak – stoję pomiędzy nimi. narodziło się –

leży malutkie i czeka. coś musimy zrobić:  
zawiesić firanki, ustawić kwiaty w wazonie,  
nastawić radio, zwłaszcza w obrazie

petera paula rubensa, gdzie wygląda tak pysznie  
w mrocznym wnętrzu. spoglądam stamtąd na turystów  
odwiedzających national gallery w londynie.

czuję jak drży powietrze od oddechów. za chwilę podglądacze  
wrócą do siebie, ukradną gwiazdom usta, później włosy –  
nie będzie tylko stręczycielki trzymającej lampkę.



WIERSZ STUDZIENNY. KSIĘGA DOMOWA TRZECIA

szliśmy nad rzekę kąpać gęsi –  
w dniach naszych, Stokłosa, wciąż pływały jak sen,  
skrzydłami biły skrzydło.

a ich głos, co zamarł w tafli wody  
do dziś stoi po bramach i oddycha.  
wydaje mi się, że wiem, co w drzwiach  
mnie czeka, kto stoi w progu i skrzydłami  
bije skrzydło domu.

w naszych dniach, Stokłosa, szukamy samych nocy,  
sierpów błyszczących w niebie.  
ktoś przecież je tam wetknął – ciągnie, tnie  
krawędzie dziejów.

na to wszystko chwytam za rękę –  
korbę studni. bo jeśli w progu go nie spotkam,  
to wyłowię – rdzawy sierp z głębin słowa,  
białą gąskę. i chwycisz mnie za rękę i pociągniesz  
jakby mocniej.

narodziło się nam i patrzy. musimy dać się znaleźć,  
niechby tu miało kogo trzymać za paluszek.  
czas nam kąpać gęsi,

bić skrzydłami skrzydło.

## HISTORIA CZASU

gdzie się podzieli wszyscy moi umarli przodkowie,  
których nie spotkałam, których już nie poznam,  
choćby byli podobni do portretów zdobiących ściany.

gdzie teraz pływają i gdzie się unoszą –  
bezzębni czy kulawi, dźwigający na twarzach  
wyrok czasu.

gdzie się podzieli ci piszący wiersze,  
choć nie znający liter,  
przekazujący z ust do ust historii plemion,

przekopujące się przez grządki gospodynie,  
mężczyźni ocierający pot –  
tak morg za morgiem dochodzący w swoim życiu do wieczności,  
której sami nie poznamy.

gdzie się podział ich rozum i roztropność  
porządkująca wszystko według praw natury?  
nie ma już ich szczerości i ich wódki –

obie przetrwał czas, który dziś  
ryczy.

21.11.2010

KATARZYNA DYBŹYŃSKA  
godło: „Moana”



III nagroda w kategorii Miłosz 2011

*KATARZYNA DYBŹYŃSKA – nomadka, od roku sopocianka, planuje nową podróż dookoła świata. Wierzy w ruch, zmianę, bezdroża, esencje, wszystko co ulotne, żywe. Mimo swojego młodego wieku była już totalnym włóczęgą, menedżerką, dziennikarką, artystką, sprzedawczynią lawy wulkanicznej na greckiej wyspie, poganką, przez trzy dni właścicielką camper vana, przez tydzień hippiską...*

*Niczego mi proszę pana  
Tak nie żal jak porcelany*  
Czesław Miłosz, fragm. „Piosenki o porcelanie”

*„A moja córka właśnie wróciła z Rzymu i twierdzi,  
że zwyczajni ludzie, w kawiarniach,  
na ulicach, nienawidzą dyktatorów”.*

Virginia Woolf „Między aktami”

piją kawę i nienawidzą filiżanki  
parują a oni nienawidzą  
tego dymu bo siwy i bezkształtny  
więc podnoszą dłonie do ust  
i parzą sobie wargi  
ogień myślą tak ogień ale nie dym  
szubienicą łyżeczki gwałtownie mieszają kawę  
i nienawidzą dyktatorów

LEK WYSOKOŚCI BO CZY TO NIE TO SAMO

*śnił mi się sen o trudnej do przekroczenia granicy*  
Cz. Miłosz, fragm. wiersza „Granica”

był dzień, kiedy horyzont się skończył.  
i można było fruwać kraulem albo tonąć  
w niebie, można było. a także chodzić  
po wodzie, jak wtedy, gdy jest ciemno.  
i nie widać granic ni przepaści  
*między nimi*  
jak wtedy, gdy się ma zamknięte oczy,  
żeby nie patrzeć  
w dół,  
żeby oszukać lek wysokości.

lub lek przed miłością, bo czy to nie to samo

## MIŁOŚĆ W GETCIE

Poświty a w źrenicach drut kolczasty  
Sześcioramienny  
Jest miłość i wojna  
Czasem jeszcze zupa i ogień

To oni podsunęli nam rozwiązanie  
strzelając do pożaru  
najbardziej boją się życia  
dlatego nie będziemy martwym pulsowaniem krwi

Za ostatnie grosze kupiłeś irysa  
roztapiał się cukier w ustach  
kiedy skakaliśmy z okna  
słodkie jest spadanie

płomień na nas trzepotał jak poła płaszcza

*I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,  
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa*  
Cz. Miłosz, fragm. „Piosenki o końcu świata”

i cóż więcej mieli z miłości prócz ścierania naskórków  
*(jakby przez przetarcia można było zajrzeć w głąb)*  
ale cóż więcej można mieć z miłości  
może tylko tę dalszą stronę oceanu  
pomarańczową rozpuszczonym słońcem  
może jeszcze czasami małą łódkę ale ze smyczkiem  
zamiast wiosła  
dlatego musimy machać ramionami

## POWOJNIE

Kiedys będzie.  
Bzy zakwitną już nie kolorem krwi.  
I znów będzie można zapytać o łzy.  
Będą słowa, kalendarze i dni.  
Słoneczne zmrużenie powiek.  
I nikt już nie będzie miał cichej szklarni  
strachu, gdzie róże przekłuwają błony żył  
a krew jest szumem rzeki.

Kiedys popłyniemy w oczy jaśniejsze i płytsze.  
Już nie lęk, nie ocean, ale zwykła  
letnia kałuża,  
zamoczenie kostek.

Powojnie  
po cichu  
powrócimy



DOROTA PODSTAWSKA  
godło: „Wrzeciono”



wyróżnienie w kategorii Miłosz 2011

*DOROTA PODSTAWSKA – nauczycielka plastyki, mieszka w Rudzie Śląskiej, dwukrotna laureatka konkursu „Krajobrazy Słowa” (1998 i 2010 r.). W roku 2009 otrzymała pierwszą nagrodę w dziedzinie prozy w konkursie literackim dla pracowników oświaty „Pomorskie Klimaty” w Koszalinie.*

1.  
DRZEWA

Drzewa ogromne, wisielec księżycy,  
w wielkiej niecce kotliny noc puchnie jak ziarno,  
leci rzeka w otchłań pomiędzy olszyny,  
czarne kruki jesieni pohukują czarno.

Ludzie nie śpią, w otchłani świeci telewizor,  
matka suszy grzyby, wigilia już blisko.  
Wróżą sobie dzieci z gwiazd w telewizorze,  
a nad dachem gwiazdozbiór. Wiecznych gwiazd siedlisko.

Pod drzewami, po nocach skrada się stajenka –  
sacrum z gipsu, kolęda, jądło bliskie sercu.  
Ludzie patrzą za gwiazdką, a po ojczenaszu  
jedzą mak i opłatek, księżyc na widelcu.

2.

MAMA W BIBLIOTECE

matka kłania się ziemi i dla kwiatów tańczy  
ustrojona jarzębin i szyszek koroną  
nie ma książek matka ale pisze przecie  
gałęzią na opał po piachu wleczoną

drogo piaszczysta, tyś poezji pełna  
przed wieczorem gałęzią litery wryte  
Herostrates śpi w ziemi, nie będzie pożaru  
wiersze wóz rozgarnie i krowa kopytem

3.

\*\*\*

*I teraz nie wiem  
Co było prawdziwe.*

Nie będziesz wiedział, co było prawdziwe  
płyną liście niewinne z podniebną swobodą  
miasta, ludzie, katedry, grusza panna w sadzie  
wszystko jak obłok pary szybuje nad wodą.

I nie wyrośnie źdźbło prawdy w ogrodzie  
choćbyś jak dzwonnik serca słów potęrał  
tylko się wiernie potoczy donikąd  
Issa jak czarna droga pod obcasem słońca.

## SPIS TREŚCI

|                                 |   |  |     |
|---------------------------------|---|--|-----|
| Karol Maliszewski               | – | <i>Wiosna w literaturze i Kędzierzynie-Koźlu</i> | 5   |
| Piotr Zawadzki                  | – | godło „oneironauta”                              | 7   |
| Weronika Górską                 | – | godło „Herbaciana Dama”                          | 15  |
| Mirka Szychowiak                | – | godło „fruwam”                                   | 27  |
| Piotr Falczyński                | – | godło „Hapek”                                    | 33  |
| Janusz Mielczarek               | – | godło „kiara”                                    | 39  |
| Elżbieta Borkowska              | – | godło „Durbaszka”                                | 53  |
| Paweł Podlipniak                | – | godło „Marlina_Mansonowa”                        | 73  |
| Rafał Baron                     | – | godło „Drogowcy zaskoczyli zimę”                 | 81  |
| Małgorzata Stachowiak-Schreyner | – | godło „Julem”                                    | 87  |
| Izabela Wageman                 | – | godło „klamka zapadła”                           | 95  |
| Milena Rytelewska               | – | godło „Filip”                                    | 99  |
| Jadwiga Grabarz                 | – | godło „Gorzkie Pagórki”                          | 105 |
| Katarzyna Dybżyńska             | – | godło „Moana”                                    | 117 |
| Dorota Podstawka                | – | godło „Wrzeciono”                                | 125 |



**MIEJSKIE WODOCIĄGI  
i KANALIZACJA**  
w Kędzierzynie-Koźlu  
Spółka z o.o.  
47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14



## **Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu”**

W latach 2004–2010 w Kędzierzynie-Koźlu realizowany jest Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 pod nazwą „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu” o wartości **44,5 mln euro**, współfinansowany w **70%** ze środków Unii Europejskiej.

W ramach tego projektu zostanie rozbudowany i zmodernizowany system kanalizacji sanitarnej o łącznej długości około 99 km, zmodernizowana zostanie istniejąca oczyszczalnia ścieków, m.in. przez budowę nowych obiektów, tj. nowoczesnej suszarni osadów ściekowych, osadnika wtórnego, zamkniętej komory fermentacyjnej, zostanie zmodernizowany istniejący system odprowadzania ścieków deszczowych o długości około 17 km oraz rozbudowany system rozprowadzania wody o długości około 20 km. Planowany termin zakończenia Projektu Funduszu Spójności to rok 2010.

**Projekt ten, współfinansowany przez Unię Europejską,  
przyczynia się do zmniejszania różnic społecznych  
i gospodarczych pomiędzy obywatelami Unii**





## Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2004 roku

WIELOBRANŻOWY ZAKŁAD ELEKTRYCZNO-BUDOWLANY



**ELBOR**

47-232 Kędzierzyn-Koźle, ul. Królowej Jadwigi 25  
tel./fax 077/482 64 06, 483 83 28, kom. 0 602 64 11 30

### **Firma wykonuje usługi w zakresie:**

- wykonawstwa projektów elektrycznych, elektroenergetycznych i nadzorów,
- instalacji elektrycznych (nowe, modernizacje, remonty),
- linii elektroenergetycznych (kablowe, napowietrzne),
- rozdzielni elektrycznych,
- montażu maszyn i aparatów elektrycznych,
- pomiarów elektrycznych, instalacji odgromowych,
- linii i instalacji teletechnicznych,
- instalacji TV,
- instalacji logicznych (komputerowych),
- instalacji domofonowych,
- przecisków wykonywanych urządzeniem typu KRET,
- wszelkich prac budowlanych związanych z wykonywaniem prac w ww. punktach.



## Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2000 roku



**MIEJSKIE WODOCIĄGI  
i KANALIZACJA** w Kędzierzynie-Koźlu  
Spółka z o.o.  
47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14



## Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu”

W latach 2004–2010 w Kędzierzynie-Koźlu realizowany jest Projekt Funduszu Spójności nr 2003/PL/16/P/PE/046 pod nazwą „Zaopatrzenie w wodę i oczyszczanie ścieków w Kędzierzynie-Koźlu” o wartości **44,5 mln euro**, współfinansowany w **70%** ze środków Unii Europejskiej.

W ramach tego projektu zostanie rozbudowany i zmodernizowany system kanalizacji sanitarnej o łącznej długości około 99 km, zmodernizowana zostanie istniejąca oczyszczalnia ścieków, m.in. przez budowę nowych obiektów, tj. nowoczesnej suszarni osadów ściekowych, osadnika wtórnego, zamkniętej komory fermentacyjnej, zostanie zmodernizowany istniejący system odprowadzania ścieków deszczowych o długości około 17 km oraz rozbudowany system rozprowadzania wody o długości około 20 km. Planowany termin zakończenia Projektu Funduszu Spójności to rok 2010.

**Projekt ten, współfinansowany przez Unię Europejską,  
przyczynia się do zmniejszania różnic społecznych  
i gospodarczych pomiędzy obywatelami Unii**

